

245 / 2

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rb. 10
Półrocz. (26 tom.) „ 5
Kwartał. (13 tom.) „ 2 k. 50
Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.

Z PRZES. POCZT.:

Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartał. (13 tom.) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

Redakcja i Administracja Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 118,
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

№ 466.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

JERZY KENNAN.

SYBERYA

PRZEŁOŻYŁ K. Ł.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

==== CZĘŚĆ II. ====

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149776

Cena 40 kop.

W prenum. 30¹/₂ kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Warecka 14.

<http://1907.org.pl>

JERZY KENNAN.

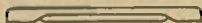


SYBERYA

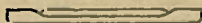
PRZEŁOŻYŁ K. L.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.



CZEŚĆ II.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.

<http://rcin.org.pl>



245

AKC/κ/398/51

<http://rcin.org.pl>
NH-41697/5

6. Życie zesłanych w drodze administracyjnej.

W rozdziale poprzednim przytoczyłem szereg faktów, aby wyjaśnić, co się nazywa w Rosyi zesłaniem „administracyjnem” przestępców politycznych, tu będę próbował możliwie najprawdziwiej przedstawić życie przestępców politycznych w miejscach ich „zesłania administracyjnego.” Deportacya „nieprawomyślnych” obywateli rosyjskich na Syberyę bez ich przesłuchania i wyroku sądowego doszła dopiero w późniejszych latach panowania Aleksandra II do największego natężenia. Wprawdzie zdarzały się zesłania tego rodzaju już przedtem, ale dopiero w 1878 i 1879 latach, gdy walka między policją i terrorystami wybuchła najgwałtowniej, stały się one ogólnemi i wysyłano na Syberyę mnóstwo osób, które podejrzewano o liberalny sposób myślenia lub o sympatye dla rewolucyonistów. Jeżeli znajdowano u młodego jakiego człowieka książki zakazane lub egzemplarz gazety „Wola ludu”, to przedstawiało to wystarczający powód do zesła-

nia go na Syberyę. Gdy student w entuzyastycznym dążeniu do podniesienia poziomu oświaty ludowej otworzył na jakimś przedmieściu Petersburga szkołę wieczorną dla robotników, to za to wysyłano go w drodze administracyjnej na Syberyę. Gdy policya wysledziła, że kilku młodych ludzi zbierało się w porze nocnej, to wpisywano ich na listę „nieprawomyślnych” i jeśli te zebrania się powtarzały, rząd przedsiębrał „energiczne środki do podtrzymania porządku społecznego” i wysyłał na Syberyę tę młodzież, która, być może, zbierała się tylko po to, aby czytać razem i roztrząsać dzieła Spencera lub Stuarta Milla. Że przyjaciele i krewni znanych rewolucjonistów wysyłani byli w drodze administracyjnej, to się rozumie samo przez się; na długo przed zamordowaniem cesarza Aleksandra II, zaarrestowano 600 do 800 młodych ludzi ze wszystkich sfer społecznych i bez wyroku sądowego, jedynie tylko na rozkaz ministra, zesłano ich na Syberyę. Przed końcem 1880 r. nie było prawie w Syberyi zachodniej jednej znaczniejszej miejscowości, gdzieby nie mieszkali zesłani administracyjnie; całe kolonie znajdowały się w Tarze, Tiukalińsku, Iszymie, Jalu-torsku, Siemipalatyńsku, Koczetowie, Akmolińsku, Kurganie, Surgucie, Ust’ Kamieniogorsku, Omsku, Tomsku i Berezowie.

Nie było wtedy także żadnych prawnych postanowień co do traktowania tych ludzi. Zesłanie w drodze administracyjnej było środkiem nadzwyczajnym, który zależał całkowicie od samowoli władzy. W drodze administracyjnej mógł każdy być zesłanym na rok, na dziesięć lat, albo na całe ży-

cie do wyschłych stepów Irtysza, albo do mroźnego pustkowia Jakucka. Mógł być traktowany jako nieletni, przymusowy kolonista, albo skazaniec — wobec ministra spraw wewnętrznych był on istotą bezprawną; jego położenie było gorsze od położenia zwyczajnego przestępcy. Ten wiedział przynajmniej, jak długo kara jego trwać będzie i za co został skazany; jego prawa cywilne były określone przez prawo i to w pewnej mierze broniło go od samowoli urzędników. „Administracyjny” nie posiadał nic z tego wszystkiego. Stał on po za prawem, jego zesłanie mogło być przez władze wedle ich uznania przedłużone, nie wiedział on, czy władze miejscowe nie zmienią rozporządzeń, które go dotyczyły; był on pozbawiony praw jako obywatel i pozbawiony praw, jako więzień. Jedyne ograniczenie władzy zarządów miejscowych stanowiły tajne przepisy ministra, które wydawano od czasu do czasu. Ale i te były po większej części nie wystarczające i pełne sprzeczności, tak, iż każdy urzędnik działał całkiem wedle własnego uznania.

W jednej miejscowości zesłańcy zmuszeni byli codziennie stawiać się w policyi, podpisywać swe nazwiska w wykazie i składać sprawozdanie o sobie osobiście isprawnikowi, w innym znowu ulegać musiełi przygnębiającemu, ciągłemu nadzorowi, który nie zatrzymywał się nawet przed progiem sypialni kobiety. Ten isprawnik pozwalał im udzielać lekcji lub zarabiać coś praktyką lekarską, inny znowu zamykał ich do więzienia za udzielanie lekcji muzyki, albo zapisywanie dozy chininy. Jeden zesłaniec z Ust' Kamienogorska nie mógł bez pozwo-

lenia wydalić się o trzy lub cztery mile, inny przeciwnie, w Iszynie został zesłany do ulusu prowincyi jakuckiej, gdyż—poszedł do lasu, odległego o 100 metrów, aby zbierać jagody. Wszędzie nieprawidłowości i nieporozumienia, które codziennie doprowadzały do nieprzyjemnych starć między władzami miejscowemi i zesłańcami.

Tak stały rzeczy aż do r. 1882, gdy cesarz wydał przepisy prawne odnośnie do wszystkich zesłańców. Przebiegnę te przepisy w krótkości i poprobuję wytłumaczyć na wybranych przykładach, jaki wpływ mogły one wyrzeć na życie zesłańców na Syberyi.

Zawierają one 40 paragrafów i zapełniają pięć ściśle zadrukowanych stronnic w ósemce. Nadzwyczaj jest uderzającym, że przepisy te, które się prawie wyłącznie ściągają do osób, deportowanych w drodze administracyjnej, nigdzie nie zawierają słów „zesłanie” albo „Syberya.” W dokumencie tym tylko w jednym miejscu wzmiankowano o zesłaniu, brzmi ono:

„Osoby, którym wskazane są określone miejsca zamieszkania, znajdują się na mocy tych przepisów przez czas trwania ich tam pobytu, pod nadzorem policyi.” (§ 2).

W tych bezbarwnych słowach nie ma nicoby wskazywało, że to „określone miejsce zamieszkania, które jest tam wskazane” może leżeć także w bliskości bieguna północnego, w odległości 8,000 kilometrów od Petersburga. Dobroduszny człowiek mógłby tych przepisów wyuczyć się na pamięć i nie przyszłoby mu na myśl, że odnoszą

się one do mężczyzn i kobiet, którzy bez orzeczenia sądu zesłani zostali na granice Mongolii albo do ulusów w pobliżu bieguna północnego. Autor ich stawia przytem na głównem miejscu nadzór policyjny, a to, co nazywa ulubionem wyrażeniem „określone miejsca zamieszkania,” ustępuje na plan drugi.

Być może obudziłoby się nawet w Rosyjanach poczucie moralne, gdyby autor we właściwy sposób zatytułował swe dzieło, t. j. „Przepisy, dotyczące uregulowania postępowania z mężczyznami i kobietami, które zostały zesłane na Syberyę przez ministra spraw wewnętrznych, bez orzeczenia sądowego”. Suche słowa „bez orzeczenia sądowego zesłani na Syberyę” brzmią zapewne bardzo nieprzyjemnie, przeciwnie w omówieniu: „osobom, które szkodliwe są dla porządku społecznego, mogą być wskazane w drodze administracyjnej określone miejsca zamieszkania,” nie zawiera się nic, co by mogło nieprzyjemnie poruszyć więcej uczuciowe natury. Gdy się staje wiadomem, że obywatel rosyjski, który nie popełnił żadnego przestępstwa, może być przez policję aresztowany i zesłany do wsi syberyjskiej pod przymusem przebywania tam całemi latami, to ciśnie się na usta zapytanie: „Jak on tam żyje? Jak się troszczy prawo o jego potrzeby? Co mu jest dozwolonem, a co wzbronionem? Jak go zwykle traktują?” Na wszystkie te pytania odpowiadają także „Przepisy” i ponieważ te urzędowe objaśnienia posiadają naturalnie więcej wagi, niż świadectwa zesłańców, przytoczę więc w krótkości wyciąg z tej „konstytucyi,” jak je deportowani pod wpływem złego humoru często nazywają:

„Maximum deportacyi pod nadzorem policyjnym oznaczonem zostaje na lat pięć (§ 3).

Gdy zesłaniec przybywa do miejsca swego przeznaczenia, ma on oddać swój paszport i otrzymać wzamian papier, w którym zaznacza się jego imię, ranga i przeszłe miejsce zamieszkania; wiadomionym również zostaje, w jakiej miejscowości dozwala mu się przebywać (§ 5).

Nie może on miejsca przeznaczenia opuszczać bez pozwolenia władz i musi zawiadamiać policyę o zmianie zamieszkania na 24 godzin naprzód (§ 7).

W wypadkach nagłych i gdy postępowanie jego zasługuje na pochwałę policyi, może mu być dozwolone swe miejsce zamieszkania opuścić na czas określony. Jeśli zaś chce on wyjechać za granicę okręgu, to musi na to mieć zezwolenie od gubernatora i dla przebycia granicy prowincyi — od ministra spraw wewnętrznych (§ 8).

Zesłaniec administracyjny, któremu także pozwolenie zostało udzielone, musi być zaopatrzony w paszport, ze wskazaniem marszruty. Nie może on przerwać podróży, chyba, że jest przez chorobę zmuszony do tego, o czem musi donieść natychmiast władzy najbliższej. Jest on obowiązany, w każdej miejscowości, przez którą przejeżdża, meldować policyi o swem przybyciu i gdy jego zachowanie się jest podejrzane, to może każdego czasu i z każdego miejsca być wyprawiony z powrotem do swego miejsca zamieszkania (§§ 9—16).

Zesłani administracyjnie powinni się stawiać na pierwsze wezwanie, osobiście do policyi, ostatnia ma prawo o każdej godzinie dnia, lub nocy, wcho-

dzić do ich mieszkań i tu odbywać rewizye domowe i urządzać konfiskaty (§§ 17—19).

Zesłańcy administracyjni nie mogą zajmować żadnych urzędów państwowych lub prywatnych, nie mogą bez szczególnego pozwolenia ministra przyjmować miejsce pisarzy, ani być założycielami, przewodniczącymi, lub członkami stowarzyszeń (§§ 20—23).

Zesłańcy administracyjni nie mogą się trudnić pedagogią, nie mogą uczyć sztuki lub rzemiosł uczniów, miewać prelekeyi publicznych albo uczestniczyć w zebraniach towarzystw naukowych, ani brać udziału w przedstawieniach teatralnych, gdyż im wogóle wzbroniona jest wszelka działalność publiczna. Nie mogą być oni właścicielami lub zarządzającymi zakładów fotograficznych i litograficznych, drukarni i księgarni, a głównie handlować żadnymi wydawnictwami, nie mogą trzymać żadnych herbaciarni, ani szynkowni, wogóle sprzedawać żadnych trunków (§ 24).

Skazani administracyjnie nie mogą ani do publicznych, ani do prywatnych szkół bez szczególnego pozwolenia ministeryalnego być przyjmowani. Nie mogą, wyjąwszy siebie samych i swych najbliższych krewnych, nikogo zastępować w sądzie, nie mogą, bez pozwolenia ministra, ani jako lekarze, ani akuszerzy, ani aptekarze, ani chemicy, trudnić się swem powołaniem (§§ 25—27).

Wszystkie tu nie wymienione zajęcia są dozwolone skazanym; może jednak gubernator prowincyi zakazać wszelkiego zajęcia, które, wedle jego

0
poglądu, mogłoby zakłócać porządek społeczny i spokój (§ 28).

Minister spraw wewnętrznych ma prawo, listy i depesze przysyłane pod adresem administracyjnym nie zesłanych zatrzymywać i tak przychodzące do nich, jak przez nich przeznaczone do wysłania oddawać pod kontrolę policyjną (§ 29).

Uchylenie się od wykonania przepisów, zawartych w §§ 1 — 29, karane jest więzieniem od trzech dni do jednego miesiąca (§ 32).

Zesłani administracyjnie, będący bez środków do życia, otrzymują dla siebie, i wrazie potrzeby także dla swej rodziny, którą dobrowolnie ze sobą wzięli wsparcie, jakiego jednak są pozbawieni, gdy ich postępowanie zostanie uznane przez władze za naganne (§§ 33—37).

Zesłańcy administracyjni przyjmowani są na wypadek choroby w publicznych szpitalach na koszt rządu (§ 38),

Zesłańcy administracyjni, nie posiadający środków, aby po upływie czasu zesłania powrócić do miejsc rodzinnych, otrzymują od rządu, na zasadzie dekretu cesarskiego z d. 10 stycznia 1881 r. wsparcie, o ile minister spraw wewnętrznych nie wydał co do tych osób specjalnych rozporządzeń (§ 40)ⁿ.

Tak brzmi w wyciągach „konstytucya” o zesłańcach politycznych. Dwuznaczne i wprowadzające w błąd wyrażenia jak: „osoby, znajdujące się pod nadzorem policyjnym,” „wskazanie określonego miejsca zamieszkania,” „miejsce zamieszkania,” zastąpiłem wszędzie przez „zesłani administracyjnie,” „zesłanie” i „miejsce zesłania,” co jest więcej zgo-

dne z prawdą i odpowiedniejsze. Gdy zesłany po podróży, trwającej tygodnie i miesiące od etapu do etapu, przybywa wreszcie do celu, prowadzą go do policyi, która mu wręcza jego „świadcstwo osiedleńcze” i egzemplarz „przepisów.” Chociaż w tym dokumencie nie ma wzmianki, że jest on zesłańcem, ale któżby o tem miał nie wiedzieć już choćby ztąd, że go prawie wszyscy widzieli przybywającego pod strażą. Właściciele domów wynajmują mu niechętnie, albo wogóle wcale nie chcą wynająć mieszkania, gdyż sądzą, że zesłaniec polityczny musi być człowiekiem niebezpiecznym, od którego dobrze się trzymać zdaleka, albo też chcą uniknąć nieprzyjemności, wypływających ztąd, że policya może odwiedzić dom ich o każdej jakiegokolwiek godzinie, a nawet przetrząsnąć wszystko. Prócz tego właściciel może otrzymać polecenie śledzenia lokatora i przy tem być wzywany w każdej chwili dla przedstawienia informacyi co do tego, do policyi, z którą wolalby nie mieć nic do czynienia.

Musi więc zesłaniec wędrować od domu do domu, znużony i przybity; wszędzie spotykają go podejrzliwe spojrzenia. I wtedy pojmuje dopiero, dlaczego zesłani za przestępstwa zwyczajne nazywają „świadcstwo osiedleńcze” „wilezym paszportem.”

Nakoniec często przy pomocy takich samych zesłańców znajduje on nędznie urządzony pokój, rozpakowuje swoje manatki i idzie zapoznać się z sąsiedztwem. Najważniejszą dla niego kwestyą jest: z czego żyć? Pozostawił w Rosyi żonę i dziecko bez środków utrzymania, w położeniu, które mu dość troski sprawiało dotąd i teraz jeszcze przy-

bywa troska o własne potrzeby. Co począć? Bada „przepisy“ i znajduje tam, że pozbawiony środków zesłaniec według § 33 otrzymuje „wsparcie“ z kasy państwowej. Wsparcie to wynosi, jak się zaraz może dowiedzieć, sześć rubli na miesiąc. Informuje się dalej i dowiaduje się także, że za tę sumę nie można zaspokoić połowy najpierwszych potrzeb, zmuszony więc jest szukać zarobku. Wie o tem, że w oddalonej wsi syberyjskiej nie może tak zużytkować swych zdolności umysłowych, jak w Petersburgu i Moskwie, ale ma nadzieję jednak otrzymać jakieś inne, możliwe do wykonania zajęcie, przytem nie może być zbyt wymagającym. Posiada wykształcenie uniwersyteckie, zna kilka języków, jest lekarzem, fotografem, literatem, dobrym nauczycielem, dzielnym rachmistrzem lub muzykiem—słowem, sądzi, że mu tu samemu nie trudno będzie zarobić przynajmniej na swe potrzeby. Ale! bada dalej „przepisy“ i znajduje, że mu pod karą więzienia wzbronione jest działać jako: lekarz, nauczyciel, chemik, fotograf, bibliotekarz, pisarz i t. d., że mu zatem prawie każda działalność, której mógłby się poświęcić, jest zakazana. Aby zarabiać na chleb jako stolarz lub szewc, kowal albo stelmach, brak mu do tego potrzebnej znajomości rzemiosła; aby się stać kupcem, brak kapitału; nie może wynająć się za woźnicę, gdyż nie wolno mu opuszczać miejsca zamieszkania. Pozostaje mu więc tylko rolnictwo. Uprawiać buraki lub kopać kartofle nie zabraniają jeszcze „przepisy“; nie ma niebezpieczeństwa, żeby na tym gruncie zasiał ziarna rewolucyi. Jednak wszelki grunt

i rola w pobliżu należy do gniazdy i rozdzielone są pod uprawę między mieszkańców, w dalszej odległości możnaby znaleźć jeszcze odpowiednie pole, ale—nie może on opuszczać miejsca. W tem beznadziejnem położeniu, zesłanemu na Syberję i skrupowanemu we wszystkim „przepisami,” nie pozostaje nic innego, jak prosić gubernatora lub ministra, by mu pozwolono na chleb zarabiać.

W r. 1883 prosili zesłańcy polityczni z Akmolińska generał-gubernatora Kolpakowskiego, żeby im pozwolono udzielać lekcyi muzyki, gdyż ze wsparcia rządowego nie mogą wyżyć i żadne powołanie nie stoi przed nimi otworem. Prośba ta była bardzo skromna, bo przecież z gry na tortepianie nie mogło chyba nic niebezpiecznego wyniknąć dla państwa. Pan generał-gubernator jednak był innego zdania. Być może mniemał, że ta nauka może w dzieciach w Akmolińsku zaszcześcić truciznę rewolucyjną, albo też sądził, że bieda i niedostatek są najlepszymi współtowarzyszami zesłańca politycznego — prośba została rozstrzygnięta odmownie, na tej zasadzie, że udzielanie lekcyi muzyki należy także do zajęć wzbronionych; zesłani mogą, jeśli brakuje im środków na zaspokojenie potrzeb, wynajmować się do robót u Kirgizów.

Mniej więcej w tym samym czasie prosili „polityczni” z Ust' Kamienogorska wspomnianego generał-gubernatora, żeby im wydzielono kawałek gruntu pod uprawę w pobliżu miejsca zesłania. Oświadczyli gotowość zajęcia się ulepszeniem gruntu, wypłacania dzierżawy, ile będzie wynosiła, a także, że po upływie terminu zesłania pozostawią wszystkie

dokonane ulepszenia państwu, bez żadnego za nie wynagrodzenia. I ta także dla państwa korzystna propozycja otrzymała odpowiedź, że mogą wynajmować się u Kirgizów.—Te przykłady brutalności urzędniczej przytoczył mi jeden polityczny zesłaniec w prowincyi Siemipalatyńskiej i sądzę, że są one prawdziwe. Chociaż nie znałem osobiście generała Kolpakowskiego, nie mam więc własnego wyrobionego zdania o jego charakterze, ale poznałem gubernatora prowincyi Akmolińskiej i ten wywarł na mnie wrażenie, że potrafiłby on swemu przełożonemu podobną decyzję przedstawić do podpisu. Zresztą miałem sposobność we Wschodniej Syberyi zauważyć wiele gorszych rzeczy.

Nie w całej Syberyi „przepisy” są wykonywane tak bezwzględnie; pozwolenie na coś zależy również całkowicie od uznania urzędników. General Cekliński, zmarły gubernator prowincyi Siemipalatyńskiej traktował podwładnych mu zesłańców bardzo po ludzku i względnie, nie dlatego, żeby sympatyzował z ich przekonaniami, lecz ponieważ był gentlemanem i urzędnikiem miłującym bliźnich. I o panu Pietuchowie, który podczas mego pobytu był gubernatorem prowincyi Tomskiej, można się wyrazić z taką samą pochwałą. Przeciwnie, w prowincyi Tobolskiej traktowani byli zesłańcy zawsze nader surowo, często nawet brutalnie. W kwietniu 1888 r. dziewiętnastu zesłańców z miasta Surgutu (w prowincyi tobolskiej, na prawym brzegu Obi, z 1,300 mieszkań.) zaniósł skargę do ministra spraw wewnętrznych o srogie z nimi postępowanie gubernatora Trojnickiego i oświadczyli, że ich po-

łożenie jest tak nieznośne, iż dłużej tak cierpieć nie mogą, jakiegokolwiek byłyby dalsze następstwa.

W jak rozpaczliwym położeniu musieli się znajdować wtedy ci zesłańcy, dowodzi okoliczność, że niektórzy z nich byli już blisko do końca terminu zesłania; pozostawało im przecierpieć jeszcze czas niedługi, by odzyskać swobodę. Ale jak wszystko i ludzka siła odporna ma swoje granice i do tego kresu u nich już dosięgła. Jaki skutek odniosły ich jęki, można się dowiedzieć z *Gazety Syberyjskiej*, która w krótkości donosi, że z Surgutu „wydalono” „dziewiętnastu bezwstyduych” zesłańców politycznych i że gubernator isprawnikowi z Surgutu i naczelnikowi policyi z Tobolska wyraził urzędowe podziękowanie za usługi ich, oddane przy tem „wydaleniu.”

Nie dowiedziałem się, do jakiego zapomnianego przez świat zakątka Syberyi tych dziewiętnastu nieszczęśliwych zesłano, aby odpokutowali za swe zachwalstwo, że chcieli wzruszyć serce ministra spraw wewnętrznych, hrabiego Dymitra Tołstoja. Mało tam jest miejscowości, gorszych od Surgutu. Jedną z nich jest Berezów nad Obią, oddalony od Petersburga o 3,450 mil, drugą—Turuchańsk „miasto,” składające się z trzydziestu czterech domów i 181 mieszkańców, blisko bieguna północnego i trzecią są osławione ulusy w prowincyi Jakuckiej; tam to wysyłano zazwyczaj tych, którzy zwracają się z „bezwstydnemi” skargami do ministra.

Zesłany administracyjnie, który gubernatorowi podwładny jest w tym charakterze, musi jednak zwracać się do ministra. Srodków materialnych

nie posiada, drobne wsparcie, jakie otrzymuje od rządu, jest niewystarczające, „przepisy” są tak bezwzględnie stosowane, że nie ma możliwości zarobienia na życie. W takich okolicznościach prosi zesłaniec, który jest lekarzem, aby jego ekscelencya pozwoliła mu w miejscowości, gdzie się znajduje i gdzie niema żadnego lekarza, trudnić się swem powołaniem. Można by przypuszczać, że prośba ta poprostu zostanie z wdzięcznością uwzględniona, skoro ilość lekarzy jest w kraju niedostateczna, o czem czytamy nawet w „tajnem” sprawozdaniu, które przesłał general-gubernator Syberyi wschodniej do cesarza w 1881 r.; kopia tegoż znajduje się w mojem posiadaniu. Pan minister wszakże jest innego zdania!

W 1883 r. przedstawiło towarzystwo lekarskie z Tweru, miasta w bliskości Moskwy, memoriał ministrowi, w którym, ze względu na brak lekarzy w Syberyi, zwraca uwagę jego ekscelencyi na wielką liczbę lekarzy i studentów medycyny, znajdujących się na zesłaniu. I jakaż była odpowiedź na ową zarówno ludzką jak i rozsądną propozycyę? Towarzystwo zostało rozwiązane i dwóch jego członków, którzy, jako lekarze szpitalni, znajdowali się w służbie rządowej, zostało pozbawionych swych posad. Jeśli już ludzie, którzy proponują tylko dopuszczenia zesłańców do praktyki lekarskiej, w podobny sposób są traktowani, to można sobie przedstawić łatwo, co by zrobiono z lekarzem zesłanym, który bez pozwolenia odważyłby się poświęcić swemu powołaniu.

W 1880 r. mieszkał w Charkowie student me

dycyny, nazwiskiem Nifont Dołgopółow. Ukończył on studia na tamtejszym uniwersytecie i właśnie miał złożyć swój egzamin ostatni, gdy wybuchły zamieszki studenckie, które nie są rzadkością w Rosyi. Tu rozruchy były poważniejsze, niż zazwyczaj, tak, iż władza uniwersytecka zażądała pomocy wojskowej; oddział kozaków rozproszył podniecony tłum, przyczem kozacy zrobili w jaknajszerszej mierze użytek ze swych krótkich batożków. Pan Dołgopółow wcale właściwie nie uczestniczył w rozruchach, ale wypadkowo znajdował się na ulicy; gdy kozacy ze swemi batożkami napadli na niego owładnęło nim takie oburzenie, że zawołał do jednego policyanta w cywilnej odzieży: „wstydz się pan! to haniebne tchórzostwo ćwiczyć bezbronnych ludzi knutami!” Zaczepiony, zameldował o tem policyi i Dołgopółow został aresztowany i po kilku miesiącach—naturalnie bez wyroku sądowego, musiał powędrować na Syberyę „w drodze administracyjnej.” W 1883 r. wrócono go ztamtąd, aby złożył przysięgę na wierność nowemu cesarzowi i ponieważ odmówił tego, został zesłany z wyznaczonego mu miejsca zamieszkania w Kurganie do Tiukalińska. Tamtejszy isprawnik Iljin był w najwyższym stopniu brutalny i wkrótce nastąpiło z nim starcie, ponieważ Dołgopółow nie trzymał się ściśle „przepisów.” Szlachetnie myślącemu młodemu człowiekowi było często niemożliwem odmawiać pomocy szukającym jej chorym. Nie dążył on do tego, by zajmować się praktyką lekarską, nie korzystał z niej jako ze źródła zarobku, nie mógł tylko się przezwyciężyć, aby włościaninowi, który w stanie gorączkowym

przybył do niego, albo opanowany był przez jaką chorobę, odmówić swej pomocy. Doszło to do wiadomości isprawnika, który wezwał młodego lekarza do siebie i wskazał mu w szorstkim tonie na § 27 „przepisów,” Paragraf ten zabraniał okazywać jakiegokolwiek pomocy lekarskiej włościanom, choćby bez wynagrodzenia, i groził mu przy dalszem przekraczaniu zakazu karą więzienia. Doktor Dołgopółow zrobił co musiał — uległ, ale jego stosunek z isprawnikiem stał się wrogim. Wreszcie zdarzyło się w jesieni 1883 r., że syn bogatego i poważanego burmistrza w Tiukalińsku, pana Bałachima, przy próbowaniu broni strzelił przypadkowo do swej matki. Wyjęcie kuli było niezbędnem i przedstawiało ciężką operację, której lekarz miejski, nerwowy i bojaźliwy jegomość, nazwiskiem Hull, nie chciał się podjąć. Radził on zawezwać doktora Dołgopółowa, który był bardzo zręcznym chirurgiem. Pan Bałachin udał się do młodego lekarza i prosił go o pomoc.

— Nie mogę—ten odpowiedział.

— Ale tu chodzi o życie ludzkie!—zawołał burmistrz.

— Nie mogę, znajduję się w bardzo złych stosunkach z isprawnikiem, miałem raz już przykrości z powodu niedozwolonego praktykowania i zakazał mi, pod groźbą kary, trudnić się tem nadal.

— Został pan za swe pełne miłości bliźniego przekonania zesłany na Syberyę i obawia się pan kary za uratowanie życia ludzkiego?!—zawołał zrozpaczony Bałachin.

— Jeżeli pan w ten sposób rzecz pojmuje, to

muszę zrobić, czego pan żąda, niech się co chce stanie—odpowiedział młody lekarz i poszedł z nim do ranionej. Zbadanie rany wykazało, że nie istniało bezpośrednie niebezpieczeństwo, prosił więc burmistrza o zapytanie telegraficznie gubernatora Łyssa-gowskiego w Tobolsku, czy pozwala, by zesłany lekarz dokonał operacji, której nie chce się podjąć lekarz miejski. W godzinę potem przybyła odpowiedź, że sprawa nie należy do kompetencji gubernatora, ale że burmistrz musi się zwrócić do ministerjum spraw wewnętrznych.

— Widzi pan, co znaczy życie ludzkie u pańskich przełożonych—zauważył na to doktor Dołgopolow z goryczą. Wziął się do operacji, przewiązał uszkodzoną żyłę i kobietę uchronił od niebezpieczeństwa.

Następnego dnia zaarrestowano młodego lekarza i osadzono w więzieniu; potem rozpoczął się długotrwały proces, którego akty w archiwum sądu w Tobolsku noszą następujący tytuł:

„Nie dozwolone wyjęcie kuli z nogi pani Bu-lachimowej, małżonki burmistrza w Tiukalińsku przez zesłanego administracyjnie Nifonta Dołgopolowa.“

Wypadek ten wzburzył całe miasto, codziennie dowiadywali się mieszkańcy o stanie jego zdrowia — zachorował bowiem wkrótce w więzieniu na tyfus—i przynosili mu kwiaty i jedzenie.

Te oznaki sympatii zaniepokoiły isprawnika, tak, iż kazał on chorego przenieść do jego mieszkania, jednocześnie przecież przedstawił gubernatorowi raport urzędowy, że oskarżony o przestępstwo zesłany administracyjnie Nifont Dołgopolow

wywiera nader szkodliwy wpływ na ludność, ludzie znoszą mu kwiaty i pokarmy do więzienia, należy się zatem obawiać, że mu dopomogą do ucieczki. W takich okolicznościach jest mu za ledwie możliwem brać na siebie odpowiedzialność za niego, zmuszony więc jest prosić jego ekscelencyę, aby wysłał go do Surgutu albo do innej miejscowości prowincyi, gdzie nadzór jest o wiele łatwiejszy. Że doktor Dołgopółow leżał ciężko chory na tyfus, nie wspomniał o tem wcale. Gubernator wydał telegraficznie rozkaz, aby więźnia wysłać natychmiast w drodze etapowej do Surgutu. Isprawnik rozkaz ten zakomunikował oficerowi dowodzącemu etapem i zażądał wykonania tegoż. Ten jednak odmówił na tej zasadzie, że surowo jest wzbronione, przyjmować od władz miejscowych chorych zesłańców. Chory mógł umrzeć w drodze i oficer mógł być wtedy za to pociągnięty do odpowiedzialności. Isprawnik chciał przecież Dołgopółowa, którego nienawidził teraz jeszcze więcej, niż przedtem, pozbyć się natychmiast, udał się zatem z kilku policyantami i z wozem chłopskim do mieszkania chorego, aby go w ten sposób pod eskortą swych ludzi wysłać. Doktor Dołgopółow leżał w łóżku i był tak osłabiony, że ruszyć się nie mógł. Jego żona stawiała opór temu barbarzyńskiemu przewożeniu, skrupowano jej więc ręce i nogi; chory, odziany tylko w koszulę nocną, został w pościeli wyniesiony i położony na wóz. Działo się to 24 października 1883 r. podczas surowej pory roku. Dołgopółow byłby tej podróży nie wytrzymał, gdyby jakiś miłosierny widz nie był zrzucił z siebie swego

futrzanego palta i nie przykrył niem chorego. W takim stanie został on przewieziony do odległego o 200 kilometrów miasteczka Iszymu, gdzie wtedy znajdowało się jedenastu zesłańców politycznych, wśród których był znany nowelista rosyjski Machet. Niektórzy z nich znali doktora Dolgopółowa osobiście, wszyscy jednak znali jego historię. Gdy ujrzeli w jakim stanie się znajdował, udali się do isprawnika w tem mieście i oświadczyli, że postarają się wszelkimi środkami przeszkodzić dalszemu transportowi chorego. Kazali go dalej zbadać przez lekarza miejskiego i zmusili isprawnika, że podniósł kwestyę w drodze urzędowej; wtedy zapytali gubernatora Lissogorskiego w Tobolsku, czy upoważnił isprawnika w Tiukalińsku do przewożenia podczas takiej pory roku na wozie chłopskim ciężko chorego, odzianego tylko w koszulę nocną. Gubernator telegrafował do isprawnika iszymskiego, że młodego lekarza można umieścić tam w szpitalu, co-
 fnął także rozkaz zesłania go do Surgutu.

Doktór Dolgopółow pozostał aż do swego wyzdrowienia w szpitalu w Iszymie, potem został zesłany do innego miejsca przeznaczenia. Później osiedlił się w prowincyi Siemipalatyńskiej, gdzie jego położenie o wiele się polepszyło i gdzie, jak się ostatnio dowiedziałem, zajmował się antropologicznymi badaniami nad Kirgizami.

Przytoczyłem ten wypadek tak szczegółowo, gdyż jest on nietylko charakterystycznym, co do sposobu, w jaki traktują w Rosyi „niedogodnych“ ludzi, ale i wyjaśnia, dlaczego wspomniani zesłańcy odważyli się wysłać z Surgutu skargę do ministra

spraw wewnętrznych. Za to jeden z nich nazwiskiem Leon Iwanow przez srogość i nieczułość urzędników był w dosłownem znaczeniu, zamordowany, a dwóch innych, wskutek udręczeń, złamanych fizycznie; sami oni nawet nazywali siebie „przeklętymi.“ Ponieważ później za swoje „zuchwalstwo“ zesłani zostali do gorszej miejscowości, zapewne więc już dzisiaj pożegnali się z życiem i wolni są od wszystkich cierpień.

Gdy zesłany administracyjnie doprowadzony jest do tego z powodu trosk o swą nędzną egzystencyę, że pragnie ostatecznie ją zakończyć, to jakże ciężko przytem musi mu być znosić jeszcze poniżający nadzór policyi i kontrolę listów. Policyan-ci, którzy ich pilnują, są to często ludzie ordynarni ze zbrodniczą przeszłością. Niektórzy z naczelników policyi, a jeszcze więcej sekretarze policyjni są to zbrodniarze, zesłani na Syberyę za pospolite zbrodnie, którzy po upływie terminu kary, przebytego w robotach ciężkich, pod innem nazwiskiem wstępują do służby policyjnej. Początkowe litery nazwisk około dwudziestu takich skazańców w mundurze policyjnym i ich miejsce zamieszkania, przytoczyły liberalne gazety syberyjskie. Takim ludziom powierzono w niektórych miejscowościach Syberyi honor, zdrowie i życie wielu inteligentnych zesłańców obojga płci, nie więc dziwnego, że ostatnich traktują oni obelżywie i brutalnie. Znam osobiście niektórych urzędników policyjnych, jak np. naczelnika policyi w Minusińku — których nie chciałbym spotkać w nocy, nie mając przy sobie rewolweru. Nawet w stosunkowo dobrze admini-

stowanym Tomsku, kronika policyjna zawiera w sobie akty najsrońszych i najhianiebniejszych gwałtów: aresztowania i uwięzienia niewinnych, przekupstwa, krzywoprzysięstwa, używanie tortur, smaganie do śmierci kobiet brzemiennych i wiele innych.

Urzędowa gazeta *Tomskija Wied.* donosiła, że mianowanemu ostatnio gubernatorowi tej prowincyi, podczas zwiedzania więzień, wręczono trzysta skarg o nieprawidłowe uwięzienia; dwieście z nich okazało się uzasadnionemi, tak, iż petenci zostali uwolnieni. Tak wielką jest władza isprawników i innych naczelników w Syberyi, że wśród włościan istnieje wyrażenie: „W niebie jest Bóg, a w Ochocku Koch!” Jak wielu „Kochów” — mogą się także nazywać inaczej — znajduje się w Syberyi, o tem wiedzą także, obok Boga, włościanin i zesłaniec polityczny. Nadzór policyjny wykonywują oni rozmaicie, ale jaką formę ten nadzór przybierać może, o tem nas naucza wyjątek z listu jednego zesłańca politycznego, który został ogłoszony w *Gońcu prawnym*, organie towarzystwa prawniczego w Moskwie. Czytamy tam:

„Nasz nadzór policyjny odbywa się w sposób najbezwzględniejszy. Każdy z policyantów stara się drugiego ubiedz w czujności. Kilkakrotnie podczas dnia wstępują do nas, aby zobaczyć, czy jesteśmy w domu i czy nikogo u nas nie ma. Przechadzają się ciągle przed naszymi mieszkaniami tam i napowrót i patrzą przez okna i podsłuchują u drzwi. Czują w nocy w pobliżu naszych mieszkań i zmuszają naszych gospodarzy i sąsiadów, aby dawali

baczenie na nasze postępowanie i zawiadamiali ich o temⁿ.

Pewna młoda dama, która [zesłana została do Tunki, wioski na granicy mongolskiej, opowiadała mi, że nie rzadko się zdarzało, iż po powrocie ze spaceru lub wizyty zastawała śpiącego na jej łóżku policyanta.

Obawa przed wymysłami i przed czemś o wiele jeszcze gorszem, zmusza większość kobiet zesłanych, do zamieszkiwania ze swymi towarzyszami niedoli w jednym domu. Inaczej. mieszkać byłoby niemożliwym! Między zesłańcami politycznymi znajdują się bezbronne dziewczęta w wieku od 16 lat do 20-tu, młode kobiety, których mężowie znajdują się w innej części Syberyi, lub też muszą odbywać karę przymusowych robót w kopalniach. Niemożliwym jest dla nich mieszkać zupełnie osobno w warunkach podobnych, gdy pierwszy lepszy policyant o każdej porze dnia lub nocy może wejść do ich mieszkania. Prawie jeszcze więcej niż ten nadzór przygnębia mieszkańców kontrola ich korespondencji i doprowadza do rozpaczy. Nie mogą oni wysłać żadnego listu, zanim go nie przedstawią inspektorowi do aprobaty. Ten może wyprowadzić listy do adresatów, zniszczyć je lub przesłać ministrowi spraw wewnętrznych. On otrzymuje listy nadesłane dla zesłańców, otwiera je, czyta, wykreśla co mu się w nich nie podoba, aby je nakoniec wręczyć wtedy, kiedy to uzna za stosowne. Jeśli chce dokuczyć zesłańcowi, którego nie lubi, albo który „bezwstydnie” się zachowuje, zatrzymuje listy i pozostawia go całe miesiące bez wiadomości o żonie

i dziecku, które, być może, bez środków do życia zostawił zesłany w Rosyi.

Isprawnik w Tarze, w prowincyi tobolskiej, miał zwyczaj nadesłane do zesłanych listy odczytywać swym znajomym w klubie i radzić się z nimi, jakie miejsca ma zrobić nieczytelnemi. Niejeden zesłaniec usłyszał coś o swych listach poraz pierwszy na ulicy od ludzi, którym je isprawnik pokazywał. Co mógł taki biedny zesłaniec odczuwać, gdy się dowiadywał, że słowa miłości, pociechy, które jego droga żona wśród westchnień i lez tam napisała, odczytane zostały przez isprawnika w kółku jego kieliszkowych towarzyszków!

Jeśli zesłaniec dowiaduje się przypadkiem, że przybył list do niego, to jeszcze nie znaczy, że on ten list otrzyma. Gdy gwałciciel tajemnicy listu, przeczytał go swym przyjaciółom, powstaje w nim czasem jeszcze podejrzenie, że w liście jest jakie ukryte pismo i że najlepiej będzie listu nie wydawać. Sam widziałem listy, które otrzymywali zesłańcy i które widocznie podejrzliwi urzędnicy badali przy pomocy nagrzewania, lub chemikalii, gdyż sądzili, że były tam wiadomości napisane „atramentem sympatycznym”.

Często zesłanego wzywają do policyi i poddają ostremu badaniu co do treści listu, którego on jeszcze nie oglądał na oczy.

Co najwięcej przygnębia jeszcze zesłańca, to nieokreślone położenie, w jakie stawiają go „Przepisy”. Nie jest on ani przez prawo bronionym, obywatelem, ani przestępcą, pozbawionym praw cywilnych; ciąży na nim wszystkie obowiązki obywatel-

skie, nie korzysta jednak nawet z tej opieki, jaka zapewniona jest dla przestępców, jest on, krótko mówiąc, ofiarą samowoli.

Jeden zesłaniec administracyjny przysłał następujący, memoriał w 1881 r. do senatu rosyjskiego, jako do najwyższej instytucji sądowej. Opisane w nim zostały stosunki, w jakich żyją zesłańcy w Syberyi. Bezwątpienia ani na chwilę nie przypuszczał piszący, że przez to poprawi swe położenie, mógł, przeciwnie, być przekonany tylko, że za ten „bezwstyd” odpokutuje. Miał on wtedy złożyć przysięgę poddańczą nowemu cesarzowi i dał wodze swym uczuciom w tym, w satyryczną formę ujętym, memoriale. Nie znam odnośnej osoby, uważam jednak za niepotrzebne wyjaśniać, na jakiej drodze doszedłem do posiadania tego pisma. Ale zaręczyć mogę za prawdziwość tego dokumentu i decyzji, jaka nań nastąpiła.

„Kurgan, prowincya tobolska, Syberya zachodnia, 31 marca 1881.

Do senatu państwa rosyjskiego!

W dniu 28 marca 1881 r. otrzymałem ja, zesłany administracyjnie, wezwanie od władz policyjnych miasta Kurganu, abym się stawił do urzędu policyjnego, w celu złożenia przysięgi na wierność poddańczą panującemu obecnie cesarzowi Rosyi, Aleksandrowi Aleksandrowiczowi. Wezwanie to wydaje mi się, jako będące w sprzeczności z manifestem cesarskim z d. 1 marca 1881 r., gdzie mianowicie za zasadę dla wymagania od włościan przysięgi wskazano,

że włościanie, wskutek zniesienia osobistej pańszczyznianej niewoli, stali się wolnymi obywatelami i poddani byli ogólnemu prawu. Szanuję te słowa w zupełności i uważam nie tylko ich następstwa, ale wszystkie, z nich wypływające wnioski logiczne, za słuszne. A jednym z nich jest ten, że gdyby włościanie rosyjscy, albo inni Rosyanie, nie byli wolnymi obywatelami, ani poddani byli prawom państwowym, to nie otrzymywaliby wezwania do złożenia przysięgi poddańczej, gdyż manifest cesarski z d. 1 marca wymaga tej przysięgi tylko od obywateli, którzy podlegają prawom państwowym. Zapytuję siebie: „kim ja jestem? Wolnym obywatelem?”—Mój ojciec zaliczał się do szlachty dziedzicznej państwa, a moja matka była jego żoną¹⁾ prawowitą; należy mi się zatem, według praw rosyjskich, ranga mego ojca i przytem jeszcze prawa wolnego Rosyanina. Takie prawo poręcza mu najważniejszy przywilej—wolność osobistą, dopóki nie uznany został za winnego popełnienia jakiego przestępstwa, dalej także opiekę nad jego rodziną i majątkiem. I mimo to jestem pozbawiony wolności, moje życie rodzinne jest zrujnowane, mój majątek oddany do rozporządzenia trzeciego wydziału¹⁾ i wszelkie zajęcia, do jakiego jestem uzdolniony, jest mi wzbronionem. Nie mogę przekroczyć obrębu miasta Kurganu, oddalony jestem o 4,800 kilometrów od mojej rodziny i nie mogę wysłać listu, któregooby przed-

1) Trzeci wydział kancelaryi cesarskiej był przedtem policya cesarską, ale został skasowany i dział policyjny poddany władzy ministerym spraw wewnętrznych.

tem obcy nie przeczytali i nie zaaprobowali. Fakty te dowodzą, że nie jestem ani szlachcicem, ani obywatelem wolnym.

Czyż mi są rzeczywiście wszystkie prawa obywatelskie odjęte i jestem rzeczywiście jako kolonista karny, zesłany na Syberyę? Gdy czytam odnoszące się do kolonistów karnych prawa, to widzę, że ich określenia stosują się także i do mego położenia, prócz jednego wyjątku: kolonista karny ma nadzieję odzyskać powoli część praw mu odjętych; może otrzymać prawo swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce wewnątrz granic prowincyi albo i w całej Syberyi; ja przeciwnie, nie mogę się tego spodziewać, jestem zesłany na czas nieokreślony do Kurganu. Jasnem więc jest, że nie jestem kolonistą karnym, nie jestem nim jeszcze i dlatego, że nie zostałem przez żaden sąd skazany. Kim więc ja jestem? Jeśli nie jestem ani wolnym Rosyaninem, ani skazanym przestępcą, to muszę być wyjętym z pod praw rosyjskich? A więc jestem bez wątpienia obcym poddanym? Nie, nie jestem nim także.

Gdyż jako wolny, obcy poddany, miałbym prawo opuścić Rosyę i byłbym na pewno w każdym państwie uważany za prawego, wiernego obywatela. Ale i tego prawa jestem pozbawiony, muszę więc być jeńcem wojennym. Gdzież jest jednak moja ojczyzna?

Do jakiego należę narodu i w jakiej wojnie zostałem wzięty do niewoli? I na te pytania nie znajduję żadnej odpowiedzi. Dola jeńca wojennego jest nieznośną, ja muszę ją już pięć lat znosić.

Proszę zatem senat rosyjski najuniżej, aby zechciał uznać mnie za poddanego rosyjskiego i za wolnego Rosyanina, któremu się należy opieka prawa. Posiadając tę opiekę, chętnie przyjmę na siebie i obowiązki, ztąd wynikające. Gdy jednak senat rosyjski nie zechce mnie uznać za poddanego rosyjskiego, to wtedy niech mi daną będzie możliwość opuścić Rosyę, aby gdzieindziej poszukać ojczyzny!

Ja sędzę, że przysięga poddańcza wkłada nie tylko obowiązki, ale i daje pewne prawa. Żądanie złożenia przysięgi, pociąga za sobą jako następstwo przyznanie tych praw. Czyż nie tak? Oczekuję na odpowiedź. Jeśli senat rosyjski, najwyższy sąd Rosyi, stwierdzi, że jestem w błędzie, iż leżą na mnie tylko obowiązki wolnego Rosyanina, a nie posiadam praw jego, to wtedy muszę się zachować jak jeniec wojenny.

Wasilij Sidorackij.

DECYZYA.

Po otrzymaniu tej prośby Senat wydał w dniu 4 czerwca 1881 r. następującą decyzję:

Z uwagi na to, że prośba zatytułowaną jest niewłaściwie ¹⁾, i nie czyni zadosyć przepisanej w tomie X, części II, § 205 zbioru praw z r. 1876 formie, zostaje to podanie bez uwzględnienia zwró-

¹⁾ Co ma znaczyć, że nie była skierowaną do cesarza.

cone. Ukaz w którym pomieszczono tę decyzję, zostaje przesłany zarządowi prowincjonalnemu w Tobolsku.

Nadsekretnarz *R. Brud.....*

(reszta nazwiska nieczytelna).

Podsekretnarz baron *Buxhewden.*

7. Więzienie etapowe w Tomsku.

Pora pięknej pogody i dróg możliwych do przebycia ucichła tak szybko, że ze względu na długą uciążliwą podróż, jaka nas jeszcze czekała, musieliśmy pobyt w Ust' Kamienogorsku ograniczyć do najkonieczniejszej potrzeby. To jednak, o czym tu się dowiedzieliśmy, miało dla pomysłnego skutku naszej podróży wielkie znaczenie.

Gdzie się znajdują zesłańcy i w jaki sposób najpewniej zawiążemy z nimi stosunki? Pytanie to zajmowało nas żywo, gdyż nie mogliśmy na to liczyć, że nas przypadek zetknie wszędzie z humanitarnymi i uprzejmymi urzędnikami. Było dla nas niezbędnem zawsze wiedzieć dokąd i do kogo musimy się zwracać. Przebyliśmy dotąd znaczną ilość wsi, które nie pozostawilibyśmy bez zwrócenia na nie uwagi, gdyby nam było wiadomem, że one służą za miejsce pobytu dla jakich interesujących zesłań-

ców. W Ust' Kamienogorsku otrzymaliśmy potrzebne wyjaśnienia, dano nam nietylko niejedną pożyteczną wskazówkę, ale i listy polecające do osób, które nasze cele mogły popierać, do urzędników wolnomysłniejszych i wreszcie, co szczególną miało dla nas wagę, wykaz 700 zesłańców politycznych we wszystkich częściach Syberyi z dokładnymi danymi co do nazwisk, wieku, powołania i miejsca pobytu. Posiadłszy te ważne informacye, mogliśmy napotkać przeszkody przy badaniu rzeczywistego położenia zesłanych tylko ze strony rządu. Mogliśmy w każdej miejscowości odszukać takie osoby, z którymi zawarcie znajomości wydawało się nam potrzebne, i nie potrzebowaliśmy się obawiać, aby przez omyłkę wpaść na jakie tory fałszywe.

W poniedziałek, 10 sierpnia, obradowaliśmy po raz ostatni z zesłańcami politycznymi w Ust' Kamienogorsku, powtórzyliśmy im, gdy sobie tego życzyli, nasze pieśni narodowe: *The star spargled banner i Iohn Browns body* i wyjechaliśmy o godz. 6-tej wieczorem kołmi pocztowemi w kierunku Barnaulu i Tomska. Aż do stacyi Pianojarowskaja droga była podobną do tej, którą odbyliśmy w podróży naszej z Semipałatyńska do stacyi Altaju. Ta okolica zdawała się nam nawet jeszcze więcej spaloną przez słońce i nieurodzajniejszą niż tamta. Tylko zrzadka, na stepie, widywaliśmy wielkie stada owiec z grubemi ogonami, które dla ochrony od promieni słonecznych pokryte były maskami, uplecionemi z włosia końskiego, co im nadawało dziwny wygląd. W pobliżu wsi widywaliśmy pola, pokryte

slonecznikami i na wpół dojrzałemi melonami, innej vegetacyi nie było na stepach, i ta, bez sztucznego nawadniania, nie byłaby możliwa. Powietrze było jeszcze bardzo ciepłe; prawie w każdej wsi widzieliśmy jak nagie dzieci igrały na powietrzu swobodnie.

Przy Pianojarowskiej opuściliśmy drogę, wiodącą z Siemipalatyńska, i dolinę Irtysza, zawróciliśmy ku północy, przebyliśmy wązki rozdział wodny między Irtyszem i Obiã, i przybyliśmy do prowincyi Tomskiej. Obfity deszcz przyjemnie ochłodził temperaturę, ale błotniste drogi stanowiły w naszej podróży nie małą przeszkodę i stacye pocztowe, które były brudne i pełne pluskiew i gdzie mało co było do jedzenia.

Na stacyi Szëmanajawska i Sauszki na próżno usiłowałem przez dwie noce zasnąć, przepędzałem więc czas na pisaniu, przyczem co noc zabijałem po dwa tuziny tych owadów na mym stole.— Niedostateczne pożywienie, trzęsienie podczas jazdy i niemożność pokrzepienia się snem, doprowadziły nas do takiego stanu wyczerpania, że gdyśmy przybyli w piątek popołudniu, 14 sierpnia, do miasteczka Barnaula, po jeździe trwającej dziewięćdziesiąt sześć godzin, zaledwie jeszcze mogliśmy utrzymać się na nogach.

Barnaul ma 17,000 mieszkańców i stanowi punkt środkowy, bogatego i ważnego okręgu górniczego w Altaju. Posiada on stosunkowo niezwykle znaczną ilość wspaniałych budowli z kolumnadami i pięknymi fasadami, z których jednak większość jest zrujnowana. Były one zbudowane wte-

dy, gdy pewien urzędnik górniczy koronny otrzymujący od 2,000 do 3,000 rb. jeszcze 100,000 rb., potrafił na tem zarobić, płacił on guwernantce francuskiej swych dzieci—wedle wiarogodnych opowiadań—dwa razy więcej, niż miał pensyi, utrzymywał kucharza Francuza i bieliznę do prania i prasowania posyłał do Paryża.

Kopalnie w Altaju są prawie wyłącznie prywatną własnością cesarza. W okresie czasu od 1870 roku do 1879, dostarczyły one 6,984 funtów złota, 206,964 funtów srebra 9.639,620 funtów miedzi i 13.221,396 funtów ołowiu. Większą część metali szlachetnych wyplawiano w Barnaule.

Mój przyjaciel i towarzysz podróży włączył się z książką do szkicowania i aparatem fotograficznym po mieście, aby odbić bazar, zwożące kamienie kobiety włościańskie i co tylko zwracało uwagę, a między innymi i cudowną budowlę w mieszanym stylu bizantyjsko-greckim, położoną w pobliżu naszego hotelu. Pierwotnie była ona, jak się zdaje, przeznaczona na cerkiew, została jednak następnie obrócona na więzienie, gdyż to lepiej, prawdopodobnie, odpowiadało potrzebom miejscowości.

Chętnie byłbym mu towarzyszył w tych wycieczkach, ale byłem w stanie zupełnego wyczerpania i nie mogłem opuścić brudnego hotelu, który był przepelniony pluskwami, tak, iż musiałem długi stół wysunąć na środek pokoju i urządzić sobie na niem legowisko. Przy najmniejszym poruszeniu pochylał się stół i spadałem na podłogę; nie mogło więc być mowy o dobrem wyspaniu się. Gdyśmy opuścili to

miejsce znajdowałem się w stanie godnym politowania. Jedyną przyjemnością dla mnie w Barnaulu było otrzymanie ośmnastu listów z ojczyzny, w których były pierwsze wiadomości ztamtąd, od czasu, gdyśmy porzucili Tiumeń.

D. 18 sierpnia, we wtorek po południu udaliśmy się w dalszą drogę do Tomska. Droga przechodziła przez piękną, urodzajną pagórkowatą okolicę z vegetacją zadziwiająco świeżą, zwłaszcza zadziwiającą dla tych, którzy przybywają z pustych stepów Irtysza. Niedaleko pierwszej stacyi przejechaliśmy koło Kolliwana, małego jeziora, sławnego w całej Rosyi z powodu swej zachwycającej malowniczości; tutaj są także letniska ludzi zamożnych z Barnaulu i Tomska. Przez Ob' przeprawiliśmy się na oryginalnym promie, składał się on z wielkiej, leżącej na dwóch łodziach platformy i poruszany był przez koło wodne, które znajdowało się w jednym jego końcu i obsługiwane było przez dwóch brodatych muzyków. Po za tem droga nie przedstawiała — o ile mogę sobie przypomnieć — nic godnego uwagi. Zresztą, być może, wydawało mi się tak, z powodu mego wyczerpania, w którym mój stan graniczył prawie z odrętwieniem.

We czwartek, o godzinie czwartej popołudniu, przybyliśmy nakoniec do Tomska. W ciągu 51 dni, które od naszego wyjazdu z Tiumentia ubiegły, przebyliśmy na kołach do 2,400 kilometrów, zwiedziliśmy dwa wielkie więzienia etapowe, zawariliśmy znajomość z wielu politycznymi zesłańcami i wreszcie zwiedzili dziko romantyczną część gór Altajskich. Zajechaliliśmy do hotelu, gdzie nam dano wygodny

pokój i po spożyciu posiłku natychmiast oswobodziliśmy się z naszej odzieży podróżnej i wyciągnęliśmy po raz pierwszy nasze znużone członki na wygodnych łózkach.

Tomsk, główne miasto prowincyi tegoż nazwiska, liczy 31,000 mieszkańców i leży częścią na wyniosłości, częścią znowu na niskim brzegu Tomu, w pobliżu ujścia tegoż do rzeki Obi. Z powodu swej wielkości i znaczenia jest Tomsk drugim miastem Syberyi; jeśli jednak oświata, dobrobyt i duch przedsiębiorczości mają stanowić miarę, to należy mu się pod tym względem miejsce pierwsze. Miasto posiada 8,000 domów, w tej liczbie 250 murowanych budowli 33 greckich cerkwi, jeden kościół katolicki, jeden meczet i trzy synagogi. Posiada dalej 26 szkół, do których uczęszcza 2,500 uczniów, dobrze zaopatrzoną bibliotekę publiczną, dwie ukazujące się po trzy razy tygodniowo gazety, które za swoją „szkodliwą tendencję“ po większej części są konfiskowane, wspaniały gmach uniwersytetu, który przecież nie oddany został do swego przeznaczenia z obawy, że mógłby on się stać środowiskiem „szkodliwych tendencji,” czyli poglądów liberalnych. Ulice nie są wybrukowane i oświetlone są niedostatecznie, były przecież podczas naszego pobytu czyste i dobrze utrzymane. Wogóle miasto to zrobiło na mnie lepsze wrażenie, niż niektóre miasta prowincjonalne tejże wielkości.

Prowincya Tomska ma 15,688 mil angielskich kwadr. z ośmiu miastami i 2,719 wsi, ogólne jej zaludnienie wynosi 1,100,000 dusz. W tem jest 900,000 tuziemców i 200,000 pospolitych przestępców, któ-

rzy zesłani tu zostali z Rosyi europejskiej. Południowa część prowincyi jest bardzo urodzajna, dobrze nawodniona i posiada dość przyjazny klimat. Uprawny grunt, obejmujący 3,600,000 morgów daje zbiorów rocznie przeciętnie $10\frac{1}{2}$ milionów hektolitrów zboża, $1\frac{1}{4}$ miliona hektolitrów kartofli i w mniejszych ilościach konopi, lnu, tytoniu i t. d. Około $2\frac{1}{2}$ milionów sztuk bydła znajduje tu na pastwiskach dostateczny pokarm. Z danych tych można przyjść do wniosku, że ta prowincya mimo złego zarządu, rzadkiego zaludnienia, mimo szkodliwego wpływu deportowanych tu przestępców, znajduje się stosunkowo w dobrym stanie. Naturalnie jej źródła pomocnicze są bardzo obfite, potrzeba jej tylko dobrego zarządu i wolności, aby się należycie rozwinęła. Ale, póki rząd w Petersburgu knebluje prasę, uniwersytet trzyma w zamknięciu, przeszkadza rozwojowi szkół ludowych, najlepsze książki z biblioteki wyklucza i ludność przez dręczące środki działania krępuje w ruchach, pozwala na wyzykiwanie jej przez przekupnych urzędników i zalewa corocznie tę prowincję mnóstwem pospolitych przestępców—dotąd będzie ona tem, czem jest obecnie: wiele obiecującym krajem, którego rozwój krępuje uciążliwa i zbyteczna opieka. Jak słyszę, rząd zamierza budować kolej, aby módz tę prowincję wyzyskać lepiej. O wiele byłoby korzystniejszem dać ludności więcej swobody i usunąć te przeszkody, które czynią niemożliwym dotąd wszelki podstęp.

Przedewszystkiem szukaliśmy w Tomsku zesłańców politycznych, a także kilku oficerów, do których mieliśmy listy polecające. Słyszeliśmy, że

gubernator prowincyi, pan Krasowski, był nieobecny i zastępował go radca stanu Pietuchow. Przedstawiano go nam jako człowieka inteligentnego, wykształconego i dosyć wolnomysłnych poglądów. Jak tylko byłem w możności, złożyłem mu wizytę i byłem najuprzejmiej przyjęty, prawdopodobnie dlatego—jak się wkrótce dowiedziałem—że znał książkę moją *Współczesne życie na Syberyi* i zgadzał się z memi wyrażonemi tam poglądami. Po półgodzinnej wymianie myśli, dotyczącej głównie Syberyi, zapytał mnie, czy może mi być w czemkolwiek użyteczny. Zaznaczyłem, że byłoby mi bardzo przyjemnie otrzymać pozwolenie na zwiedzenie więzienia etapowego. Lekkie zmieszanie, jakie wydało mi się, że zauważyłem w jego minie, wskazało mi, że życzenie moje było dla niego równie nieoczekiwane, jak i niepożądane. Jednak opowiedziałem o dwóch więzieniach, które zwiedziłem dotąd i to, jak się zdaje, skłoniło go do odpowiedzi bez badania motywów mego życzenia:

— Udzielę panu tego pozwolenia i towarzyszyć mu także tam będę.

I po krótkiej chwili zastanowienia dodał:

— Obawiam się, że tutejsze więzienie może się panu wydać najgorszem ze wszystkich syberyjskich.

Wyraziłem nadzieję, że jednak tak nie będzie i zaopiniowałem, że gorzej jak w Tiumeniu chyba być nie może. Wzruszył, milcząc ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „Pan jeszcze nie wie, jak może wyglądać więzienie syberyjskie!” Potem zapytał mnie, czego można oczekiwać od budynku,

który służy dla dwa razy większej ilości mieszkań-
ców, niż ta, dla której jest przeznaczony.

— Więzienie etapowe w Tomsku—ciągnął da-
lej—przeznaczone było dla 1,400 więźniów, obecnie
znajduje się w niem nieco mniej, niż 3,000. Z Tiu-
menia przybywa tygodniowo 500 do 800 skazań-
ców, którzy pomnażają liczbę naszych, gdyż nie je-
steśmy w możności tygodniowo więcej nad 400
transportować na wschód. Im dalej posuwa się la-
to, tem gorzej jest u nas. Cele są strasznie prze-
pełnione, niemożliwym jest utrzymać je w czystości.
Zepsute powietrze wywołuje mnóstwo chorób, szpi-
tal również przepelniają ciężko chorzy.

— Dlaczegoż w takich warunkach nie trans-
portujecie panowie szybciej ludzi na wschód — za-
pytałem. — Dlaczego nie powiększacie transportów,
lub nie posyłacie dwóch tygodniowo?

— To nie jest możliwe — odpowiedział. — Za-
rząd deportacyjny w Syberji wschodniej oświad-
czył, że nie może wziąć na siebie więcej. Więzie-
nia są za małe; nie wystarcza również ilość naszych
żołnierzy do odprowadzania dwa razy tygodniowo
transportów. Robiliśmy próbę, ale się nie udała.

— Czy rząd zna ten stan rzeczy? — spytałem.

— Bezwątpienia! — odpowiedział. — Corocznie
składają się sprawozdania, już tego lata wysłałem
cztery depesze, gdzie wskazałem na konieczność
nagłącą polepszenia więzień i pytałem, czy nie da-
łoby się czegoś zrobić w tym celu.

— I cóż się stało?

— Nic zupełnie! Ilość więźniów powiększać
się będzie ciągle, dopóki lód, pokrywający rzeki,

przeszkadzać będzie do żeglugi, potem będziemy więzienie powoli opróżniali. Ale do tego czasu tyfus i febra będą się tu srożyły i wielu chorych będzie musiało leżeć w celach bez odpowiedniej opieki, gdyż oddział dla chorych za mało posiada miejsca. Jeśli pan chce zwiedzić więzienie, to pójdź pan za moją radą; zjedz pan przedtem obfite śniadanie i unikaj pan przedewszystkiem oddziału dla chorych.

Podziękowałem mu za jego radę, zaznaczyłem, że się nie obawiam niebezpieczeństwa zarażenia i zapytałem, kiedy najdogodniej, wedle jego zdania, można zwiedzić więzienie. Oznaczyliśmy czas i opuściłem go.

Wracając do domu spotkałem się przypadkowo z komendantem okręgu, pułkownikiem Jagodkinem, który nas nader uprzejmie przyjmował w Tomsku i bardzo się interesował naszą podróżą. Powiedział nam, że był w naszym hotelu, aby nas zawiadomić, iż rano przybył okręt transportowy z Tiumenta. Jeśli mamy chęć być obecnymi przy wylądowaniu zesłańców, to gotów jest towarzyszyć nam do oddalonego o cztery kilometry miejsca wylądowania i zaznajomić nas także tam z urzędnikami wyższymi tutejszej kancelaryi deportacyjnej. Przyjąłem z podziękowaniem jego propozycję i w kilka minut później pędził nasz pojazd przez błotniste ulice. Mimo to przybyliśmy za późno; więźniowie już wylądowali i stali w dwóch gęstych gromadach na krańcach długiego baraku drewnianego, otoczonego wysokim parkanem z desek i podobnego przez to do owezarni. Tu sprawdzono tożsamość więźniów,

policzono ich i oddano dyrektorowi więzienia etapowego. Barak przedzielony był w środku niską sztabą, na której końcu znajdowało się niewielkie zagrodzone miejsce, gdzie stali oficerowie podczas oddawania więźniów. Około połowy ludzi zostało już „oddanych” i stało oddzielnie od tych, których jeszcze miano wywoływać. Kobiety, stanowiąc oddzielną grupę, nosiły po większej części kostyum włóścianek i wydawały mi się więcej stroskanemi i zgryzionemi, niż mężczyźni. Ostatni nosili odzież wyżej już opisaną; głowy przestępców i przymusowych osiedleńców były do połowy ogolone, tak, że jedna strona była prawie obnażona, a druga pokryta skręconemi długimi włosami; byli oni także zakuci w kajdany. Naokoło stali żołnierze, wsparci na karabinach. We wspomnianem oddzielnem, szczupłym zagrodzonym miejscu stali za naszym przybyciem oficerowie, dyrektor więzienia, doktor i dyrektor kancelaryi deportacyjnej okręgu, wszyscy w zupełnem umundurowaniu. Pułkownik Jagodkin przedstawił nas jako podróżników amerykańskich, którzy chcieliby być obecnymi przy oddawaniu transportu i zaproszono nas, abyśmy weszli do miejsca zagrodzonego.

Oficer, który kierował zdawaniem, wyjął z więzki aktów pismo, które rozwinął, aby zeń wywoływać nazwiska więźniów:

„Mikołaj Kolcow!”

Chudy, blady mężczyzna z matowemi oczami i zgnębioną miną wyszedł z gromady, wziął worek, zawierający jego nędzne mienie i podszedł ku oficerowi, dzwicząc łańcuchami. Ten nader starannie

porównał jego wygląd z fotografią, która była przypięta do listy tożsamości, aby się upewnić, że wywołany nie „zamienił nazwiska” z innym skazańcem. Tymczasem kozak przejrzał jego worek i badawczo obejrzał człowieka z przodu i z tyłu, aby sprawdzić, czy czego nie sprzedał i czy wszystkie części ubrania, znajdujące się na nim, które oddane zostały do użytku więźniowi w Moskwie lub Tiumeniu, zapisane były do wykazów.

— Czy wszystko w porządku?—zapytał oficer.

— Wszystko!—była odpowiedź.

— Naprzód!

I błądzący człowiek wziął swe rzeczy na ramiona i wszedł w szeregi już „oddanych.”

— Fotografie wprowadzone są dopiero niedawno—szepnął mi pułkownik Jagodkin. — Wszyscy deportowani nie mieli ich dotąd. Spodziewają się tym sposobem zapobiedz zamianie nazwisk.

— Zamianie nazwisk? — spytałem.—W jakim celu?

— Jeśli kogo skazą na roboty ciężkie w kopalniach, a ma jeszcze nieco pieniędzy—objaśnił mój towarzysz—to zawsze znajdzie biedaka wśród przymusowych osiedleńców, któremu na wódkę i grę potrzeba pieniędzy i ten „sprzedaje za niewielką sumę swe nazwisko.” Oficer, prowadzący eskortę nie może zatrzymać w pamięci zewnętrznego wyglądu wszystkich. Gdy się udało przestępcy „zamienić” swe imię, to zajmuje on miejsce osiedleńca karnego, gdy tymczasem ostatni idzie do robót ciężkich w kopalniach. Setki już w ten sposób potrafiło zmiejszyć swą karę.

— Hassan Abdamiłow!—zawołał teraz oficer. Nikt nie wyszedł naprzód.

— Hassan Abdamiłow! — zaryczał powtórnie kozak.

— Naprzód, mały, to ty!—zawołało kilku zesłańców i wypchnęło z pośród siebie naprzód krępego, małego, koszlawego Tatara. Jego gładka, brunatna, twarz pokazywała, że nie wie co to ma znaczyć.

— On nie rozumie po rosyjsku, wasza miłość objaśnił ktoś z pośród gromady.—I przy tem jest głupkowaty.

— Podaj go tu!

Hassana zbadano, ale gdy się to stało, nie wziął, jak inni, swego worka na plecy, aby wejść do szeregów „oddanych,” ale zaczął wśród licznych pokłonów i gestów mówić po tatarsku z wielkiem ożywieniem.

— Co on mówi?—zapytał oficer.—Zawołajcie żołnierza, który rozumie po tatarsku!

Wkrótce znalazł się tłumacz i Hassan powtórzył swoją przemowę.

— On mówi, wasza miłość, że przy uwięzieniu zabrano mu ośm rubli i powiedziano, że pieniądze te otrzyma na Syberii. Żąda więc teraz, by coś z tego zwrócono, żeby sobie „kupił herbaty.”

— Nie mam herbaty!—skarżył się znów strapiiony Tatar.

— Niech idzie do dyabła! — krzyknął podrażniony oficer.—Myśli głupiec, że my tu nic ważniejszego nie mamy do czynienia! Tam na miejscu otrzyma swoje pieniądze. Marsz!

I cofnięto biednego Tatara do grupy oddanych.

— Iwan Nicniewie czerwonołoso! — zawołał oficer.—To jest bradjaga (włóczęga) — szepnął mi pułkownik.

Ogorzały, ryzy muzyk, z kajdanami na nogach, z kociołkiem do herbaty u pasa, wystąpił naprzód.

— Został uwięziony—ciągnął dalej swe objaśnienia mój towarzysz—za włóczenie się i ponieważ w jego życiu było coś, co nie bez podstawy chciał ukryć, więc na wszystkie pytania o nazwisko, daje jedną odpowiedź „nie nie wiem,” wszystkie włóczędzy zowią go *Nicniewie*. Kara za należenie do rodziny *Nicniewiedzących* wynosi zwykle pięć lat robót ciężkich w kopalniach.

Do papierów Iwana *Nicniewie* nie dołączono żadnej fotografii, jego tożsamość była więc ustanowiona przez liczbę zębów i bliźnę nad prawem uchem.

W ten sposób sprawdzono wszystkich zesłańców, oznaczono numerami i wtedy dopiero oddano ich dyrektorowi więzienia w Tomsku, a ten potwierdził odbiór 551 osób, w czem 71 dzieci niżej lat piętnastu, które towarzyszyły swym krewnym.

Oficerowie oddalili się wreszcie, my jednak pozostaliśmy, aby być obecnymi przy zbadaniu przez lekarzy chorych i osłabionych, a takżeby obejrzeć statek, który przywiózł zesłańców.

Lekarz więzienny, dr. Orzeszko, zajął miejsce oddającego transport oficera, położył kilka instrumentów na stoliku i rozpoczął nader pośpieszne ba-

danie. Niektórzy udawali, że są chore, inni byli rzeczywiście w ciężkim stanie zdrowia. Chodziło tylko o sprawdzenie, ilu więźniów było niezdolnych do odbycia drogi do miasta i musiało być przewiezionych na telegach.

Pierwszy, którego poddano badaniu, był bladym, wychudłym mężczyzną, który się skarżył na bóle w piersi i utrudniony oddech. Lekarz zbadał jego puls i płuca za pomocą stetoskopu i zaopiniował krótko: „możesz iść!”

Następnemu silnie opuchła noga, w której wskutek nacisku kajdan musiał czuć ból bardzo silny. Gdy go lekarz badał, patrzył on na niego wzrokiem, błagającym o litość. Gdy uwzględniono jego prośbę i udzielono mu prawa przejazdu, przeżegnał się nabożnie potrzykroć i jego wargi poruszyły się bez wydania dźwięku, jakby po cichu odmawiał modlitwę dziękczynną do Najwyższego.

Mogło być około pięćdziesięciu takich, którzy sądzili, że otrzymają zezwolenie na przyjazd, albo przynajmniej mieli nadzieję, że im na to pozwolą. Jedni mieli gorączkę, innych dręczył reumatyzm, inni znowu, jak się zdawało, cierpieli na znacznie już posunięte suchoty więzienne. Na mnie robili wszyscy wrażenie bardzo chorych i tak wyczerpanych, że należałoby im się pozwolenie na przejazd. Mimo to mogli być wśród nich symulanci, których doświadczony lekarz mógł zaraz odkryć, chociażby każdemu poświęcał po minucie czasu. Wreszcie dała się słyszeć komenda: „w drogę!”

Kiedy skończono badanie, lekarz zakomunikował dyrektorowi więzienia, że dwudziestu pięciu

z tych ludzi jest niezdolnych odbyć drogę pieszo do więzienia. Potrzebne wozy dostawiono i wsadzono na nie chorych, kobiety i drobne dzieci.

— Formujcie szeregi!—zabrzmiała teraz komenda, na którą więźniowie ruszyli z miejsca, dźwięcząc kajdanami. Żołnierze wzięli broń na ramię i otoczyli gromadę. Dyrektor kancelaryi deportacyjnej wszedł na krzesło i zawołał głośno:

— Dzieci! Macie jeszcze co do powiedzenia albo skargi do przedstawienia?

— Nie, wasza miłość!—odpowiedziano ze stu piersi.

— No, więc idźcie z Bogiem!

Żołnierze otworzyli drzwi ogrodzenia, podoficer zawołał: „gotowe—marsz!” i ruszył pochód przy dźwięku kajdan, powoli, przez błotniste ulice! Teraz dopiero nadarzyła się sposobność i pułkownik przedstawił nas panu Papelajewowi, dyrektorowi kancelaryi deportacyjnej; był to smukły, chudy mężczyzna, z surowym nie bardzo sympatycznym wyrazem twarzy. Powitał nas bardzo grzecznie, zdawał się jednak umiarkowanie zadowolony z naszej obecności i nie zbyt skłonny do udzielenia nam pozwolenia na zwiedzenie statku transportowego.

— Czego chcą ci panowie na statku?—zwrócił się, w tonie dosyć szorskim, pytając do pułkownika Jagodkina.—Tam nie ma nic do widzenia. Przytem nieodpowiedni czas po temu, bo baby wzięły się właśnie do oczyszczania statku.

Pułkownik jednak wiedział, że chcę wiedzieć, w jakim stanie pływające więzienie znajduje się

przed oczyszczeniem; przedstawił nas oficerowi eskorty i powtórzył nasze życzenie, tym razem z lepszym skutkiem. Nie mógł on zrozumieć, dla czego przyjaciele pułkownika nie mieliby zwiedzić okrętu, skoro mają chęć do tego i ofiarował nam nawet swe towarzystwo.

Statek był, bez wątpienia, ten sam, który już przed dwoma miesiącami zwiedzaliśmy w Tiumeniu. Wtedy był on jednak troskliwie oczyszczony i przewietrzony, obecnie zaś wyglądał, jak klatka z me-
nażeryi, opróżniona dopiero co przez zwierzęta. Był tak zanieczyszczony, jak tylko sobie można wyobrazić. Podłoga była pokryta zeschem błotem, rozdeptanemi resztkami jedzenia, tapczany czarne od brudu, usiane strzępami papieru. Przy mdłym oświetleniu zachmurzonego firmamentu wszystko zdawało się jeszcze bardziej ponurei smutne, niż było w rzeczywistości, zewsząd przemawiała historia niezmiernej nędzy ludzkiej. Powietrze przesycone było ostremi wyziewami oddechów.

Wedle sprawozdania urzędowego zarządu ze-
słańczo-transportowego, przesłano w 1882 r. statkami 10,245 skazańców. Zachorowało z nich na statkach 279, z których 22 tamże zmarło i 80 w różnych miejscach wylądowania lub też w Tomsku oddano w stanie niebezpiecznym. I działo się to w ciągu przejazdów, trwających przeciętnie dni dziesięć. Gdyby w mieście, mającem około 10,000 ludności w ciągu każdych dni dziesięciu była podobna ilość chorych i zmarłych, to stanowiłoby to rocznie na 100 mieszkańców 99 chorych i ośmiu zmarłych. Ale na statkach transportowych choroby wy-

wierają jeszcze o wiele więcej niszczące działanie: z 724 w 1879 r. chorych między Tiumeniem i Tomskiem umarło 51; w 1871 r. zachorowało z 9,416 zesłanych 1,140, z których 111 umarło. Przy takim stosunku śmiertelności wieś z 4,000 mieszkańców opustoszałaby zupełnie w ciągu jednego roku.

Następująca niżej tablica pozwala się zapoznać ze stosunkami zdrowotności i śmiertelności na statkach transportowych w przeciągu czasu od 1870 do 1884 roku. Zaczerpnąłem te dane z urzędowych sprawozdań i mogę zaręczyć za ich ścisłość.

Znajdująca się obok tablica wykazuje, że gdy z czasem stan zdrowotności na statkach transportowych znacznie się poprawił, cyfra zasłabnięć i wypadków śmierci widocznie się zmniejszyła. Po większej części są to dzieci, które gorzej znoszą umartwienia i przykrości podróży i stają się zdobyczą śmierci. Chętnie przyznaję w tem miejscu, że inspektorat i władze miejscowe robią, co mogą, aby uczynić zesłanym znośny przejazd z Tiumenia do Tomska. Statki oczyszczają się gruntownie po każdej podróży i dezynfekują, opieka nad chorymi jest także, względnie do nieznaczących środków rozporządzalnych, bardzo staranna. Zdarzające się jeszcze zasłabnięcia są po większej części następstwem przepelnienia statków i na to urzędnicy syberyjscy nie mają rady. Podczas każdego lata przesyłają im od 10 do 12 tysięcy zesłańców, którzy, dopóki żegluga jest otwartą, muszą być wyprawieni na wschód. W ciągu tego czasu mogą trzy rozporządzalne statki odbyć najwyżej tylko trzy podróże transportowe, nie można więc uniknąć, aby

nie wyprawiano na nich zazwyczaj od 6 do 8 se-tek osób naraz.

Na zwiedzenie więzienia etapowego w Tomsku wyznaczono nam dzień 26 sierpnia. Zastępca gubernatora, pan Pietuchow, zawiadomił mnie w ostatniej chwili, że nie może nam towarzyszyć; nasze towarzystwo składało się zatem tylko z pułkownika Jagodkina, dyrektora Papelajewa, oficera eskorty, mego przyjaciela, Frosta, i mnie.

ROK	Ilość transportowanych dorosłych	Ilość chorych dorosł.	Ilość chorych dzieci	Ilość zmarłych dorosł. dzieci	Ilość oddanych chorych dorosł. dzieci
1870	7444	?		85	2
1871	8202	1140		111	301
1872	7246	486		30	70
1873	7923	673		23	190
1874	8068	574		21	196
1875	7771	579		16	115
1876	8878	499	121	2	119
1877	9065	300	133	2	143
1878	8749	193	151	2	216
1879	8977	570	154	4	182
1880	8844	391	138	2	85
1881	9011	197	22	4	71
1882	8832	202	77	4	62
1883	9506	150	107	4	66
1884	9004	103	113	1	67
	127520	2598	1016	25	1011
	20969	3452	286	258	872
	148489	7066		569	2182

Był chłodny, szary dzień, jaki bywa często w Syberyi przy końcu lata. Ołowiane chmury zawisły ciężko nad ziemią i ostry wiatr północny zawiewał od strony gór. Powietrze było wilgotne i chłodne; musieliśmy podczas jazdy, do położonego na drugim końcu miasta więzienia zrobić użytek z naszych okryć wierzchnich.

Przybyliśmy. Zewnętrzny wygląd tego więzienia etapowego, różnił się zasadniczo od innych podobnych budowli, które dotąd oglądaliśmy. Zamiast wielkiego, trzypiętowego budynku z wąskimi łukowatymi oknami, dachem blaszanym i na biało potynkowanymi murami, które spodziewaliśmy się ujrzeć tutaj, zobaczyliśmy przed sobą coś, co wyglądało na mały obwarowany obóz, lub wioskę na preryach, otoczoną dla ochrony przed napadami Indyan wysoką palisadą z zaostrzonych na końcach pali. Z wyjątkiem pasiatych domków strażniczych po rogach i wartowników, którzy z bronią na ramieniu przechadzali się powoli tam i napowrót, nie zauważyliśmy niczego, coby przypominało o więzieniu. Była to poprostu na wolnem polu przed miastem leżąca, okolona palisadami przestrzeń, mająca około trzech morgów, nad którą wznosiły się śpi-czasta wieża cerkiewna i dachy około 15 do 20 baraków. Gdybyśmy jednak mieli wątpliwość jaką, co do przeznaczenia tego miejsca, to dźwięk kajdan, jaki dochodził do naszych uszu, usunąłby ją zupełnie.

Pan Papelajew kazał nas zameldować i wkrótce potem ukazał się dyrektor więzienia, pan Iwanienko, krepny, silnie zbudowany, młody człowiek i pozwolił

nam wejść na podwórze. Ujrzelśmy tu kilka jednopiętrowych baraków ugrupowanych dość nieregularnie naokoło cerkwi drewnianej. Prawie u wszystkich drzwi tych domów stały warty i na dróżkach niebrukowanych lub na wolnych między domami placach setki zakutych w kajdany więźniów odbywały swój spacer codzienny lub też siedziały na gołej ziemi. Właściwe więzienie stanowiły długie jednopiętrowe baraki drewniane z gęsto zakratowanymi oknami i masywnymi drzwiami drewnianymi, zaopatrzonymi w żelazne okucia. Każdy oddzielny budynek obejmował „kazarmę,” oddział więzienia, który poprzeczny korytarz dzielił na dwie komory. Więzienie etapowe zawierało osiem takich kazarm, i każda przeznaczona była dla 197 więźniów, co daje ledwie 4 i pół stóp kubicznych przestrzeni wolnej na osobę ¹⁾). Wielkość wszystkich była jednaka, ocenilem ją na 25 metrów długości, 14 metrów szerokości i przeszło cztery metry wysokości.

Pierwsza izba, którą zwiedziliśmy zawierała około 150 więźniów. Była ona dostatecznie oświetlona, ale powietrze było, wskutek wyziewów, zupełnie zepsute i temperatura była wyższą od zewnętrznej, mniej więcej na 20 stopni. Dwa rzędy ta-

¹⁾ Dyrektor mówił mi, że choć było tych kazarm osiem sprawozdanie inspektora transportów zesłańczych za rok 1884, oblicza je na dziesięć. Zastępca gubernatora pan Pietuchow powiedział mi, że chociaż jest miejsce dla 1400 więźniów, wspomniane sprawozdanie twierdzi, że jest ono wystarczającym dla 1900 osób. Taka ilość więźniów była też podczas naszego pobytu.

peczanów ciągnęły się wzdłuż, ale wystarczały one zaledwie dla połowy więźniów, większa część zmuszona była spać pod tapczanami, albo gdziekolwiek na gołej ziemi, bez poduszek, kołder i pościeli. Z powodu naszej wizyty podłoga była oczyszczona, dyrektor jednak opowiadał mi, że podłoga jest, zwłaszcza przy dżdżystej pogodzie, zawsze pokryta błotem, które przynoszą na nogach więźniowie ze dworu i wielu z nich musi w tych kałużach kłaść się na odpoczynek noeny.

Wielu więźniów, mniemając, że przybyliśmy na inspekcję z Petersburga, przekroczyło, mimo obecności dyrektora, przepisy i, choć nie pytani, poczęli się skarżyć na zaduch, brud, gorąco i przepełnienie. Żal mi było biedaków, ale mogłem im tylko oświadczyć, że nie w naszej jest mocy cośkolwiek dla nich uczynić.

Godzinę całą chodziliśmy od kazarmy do kazarmy; od izby do izby i wszędzie znajdowaliśmy takie same zapierające oddech powietrze, te same wstrętne i pełne zarodków chorób wyziewy, takie same skłębione mrowisko szaro odzianych więźniów. Pan Papelajew, który życzył sobie, aby nasza wizyta skończyła się możliwie najprędzej, napomknął wreszcie, że nie już tutaj nie ma więcej do widzenia, prócz kuchni i szpitala, co możemy—jak mniemał—zupełnie pominąć, tembardziej, że w ostatnim znajdowało się 70—80 chorych ciężko na tyfus. Młody oficer eskorty, który chciał poprzeć, o ile mógł zamiar pułkownika Jagodkina, aby nam dać poznać więzienie dokładnie, zapytał dyrektora, czy

nie zamierza nam pokazać izb familijnych i „bałaganów.”

— Zapewne — odpowiedział dyrektor — chcę panom pozwolić zwiedzić wszystko, co sobie życzą.

Dotąd jeszcze nie slyszalem nic o bałaganach. Widocznem było, że pan Papelajew chciałby nas tak samo powstrzymać od obejrzenia ich, jak przedtem od oglądania okrętów.

— Bałagany były to trzy długie, niskie baraki, sklecone z widocznym pośpiechem z nieoheblowanego drzewa jodłowego; ściany zrobione były z białej tkaniny, bawełnianej. Były one przeznaczone wyłącznie dla kobiet i dzieci.

Pierwszy z tych, podobnych do namiotów, baraków, do którego mieliśmy wejść, otoczony był rowem, pełnym nieczystości; wylewano do niego brudną wodę lub urynę. Okien wcale nie było, światła tam wechodziło tyle, ile tegoż przepuszczała tkanina bawełniana.

Nikt nie może sobie przedstawić obrazu tej nędzy ludzkiej, jaką ujrzeliśmy, po wejściu do baraku. Był on literalnie nabity wynędzniałymi mężczyznami i kobietami, płaczącymi dziećmi, które w rozmaity sposób leżały na tapczanach lub stały na okolo.

Przez szczeliny w dachu przeglądało niebo; w deskach i dylach były szpary, pełne brudu i nieczystości. Powietrze było, zwłaszcza wskutek obecności wielu drobnych dzieci, zaniedbanych zupełnie pod względem czystości, całkiem nie do zniesienia; i prócz tego wisiały jeszcze na belkach poprzecz-

nych mokre sztuki ubrania, uprane w kotłach polnych. Wązkie, szerokie zaledwie na $1\frac{1}{4}$ metra przejścia były zawałone zawiniątkami, węzłkami, pościelą i różnemi sprzętami domowemi. I w tym chaosie nieporządku i nędzy, gdzie nikt się nie mógł poruszać, nie trącając innych, musiały setki ludzi żyć i zaspakajać swe potrzeby codzienne. Jak miało serce nie pękać na widok tego mnóstwa kobiet i dzieci, które zmuszone były prowadzić takie życie i żadnego nie popełniły przestępstwa, lecz towarzyszyły tylko z miłości swym mężom, ojcom lub braciom, na Syberyę. Gdyśmy przechodzili przez baraki zarzucały nas te nieszczęśliwe swemi prośbami i skargami.

— Wasza miłość! — skarżył się pokornie słaby człowieczek—tu nie można spać, zimno, tłok i krzyki dzieci czynią sen niemożliwym, może dałoby się temu zaradzić?

— Nie—braciszku, odpowiedział dyrektor przyjaźnie—nie zrobić nie można. Ale pociesz się! Pójdiesz wkrótce dalej i wtedy będzie ci lepiej.

— Żeby Bóg dał! westchnął człowieczek i spojrział smutnie na swoją żonę i córeczkę, które siedziały obok niego na tapczanie.

— Ojczulku! dobroczyńco! — zawołała blada, przygnębiona kobieta z dzieckiem u piersi—pozwólcie mi przecie, na miłość Boga, przenocować w łaźni. Tu w nocy tak jest zimno, że robaczek marznie.

— Nie można, mateczko, nie można!—Odpowiedział dyrektor. Lepiej ci tutaj, niż tam.

I inne kobiety zwracały się z tą samą prośbą, którą również odrzucano. Zapytałem dyrektora,

który wydawał się być dobrym człowiekiem, dla czego nie pozwala tym biednym kobietom z ich niemowlętami spać w łaźni. Noce były już chłodne i rzadkie ściany płócienne bardzo mało ochraniały od zimna.

— To niemożliwe—odpowiedział.—W łaźni jest za gorąco i za wilgotnie. Świeżo zrobiłem próbę, ale co noc umierało jedno, albo dwoje dzieci, więc zaniechałem tego.

Może i miał słusność.

Gdyśmy z bałaganów wyszli na wolne powietrze, znaleźliśmy pana Papelajewa rozmawiającego z jednym z zesłańców, przystojnym, z brodą jasną, człowiekiem lat 30-tu, którego wygląd był przeciwieństwem rozpaczy i który wydawał się bardzo podrażnionym.

— Od miesiąca już otrzymałem jedną tylko koszulę, a i ta jest w strzępach, brudna i pełna robactwa—wołał więzień, z trudnością gniew tłumiąc.

— Gdy cię dalej wyprawia, otrzymasz drugą—odpowiedział pan Papelajew, z pozoru zupełnie obojętnie.

— Ale kiedy to będzie?—zawołał z większym jeszcze rozdrażnieniem człowiek.—Być może za trzy miesiące?

— Także możliwe!—odpowiedział sucho Papelajew, ale z ukrywaną złością, gdyż zauważył, że byliśmy świadkami rozmowy.

— Więc chcecie, żeby zesłaniec nosił jedną koszulę, dotąd, aż mu z ciała spadnie! — zawołał z odwagą i gniewem rozpaczy.

— Milcz!—krzyknął Papelajew jeszcze głośniejsze,

utraciwszy całe panowanie nad sobą.—Ośmielasz się tak mówić zemną! Każę cię ochłostać! Gdy cię wyprawią dalej, otrzymasz koszulę, nie prędeży. A teraz—wynoś się!..

Rumieniec gniewu wystąpił na twarz więźnia; jego pierś wznosiła się i opadała pod wpływem z trudnością powstrzymywanej wściekłości. Ale oświadczył sobie, milcząc, powlókł się napowrót do jednego z „bałaganów“.

— Jak długo pozostają kobiety i dzieci w tym baraku?—zapytałem dyrektora.

— Aż do drugiego października — odpowiedział.

— A dokąd potem zostaną przeniesione, jeśli jeszcze nie będą mogły pójść dalej? — spytałem znowu.

Wzruszył ramionami milcząc¹⁾.

Udaliśmy się do jednej z izb familijnych, która znajdowała się w jednym z baraków.

Ten sam widok okropnej nędzy, co i w bałaganie! — Tylko, ponieważ tu ściany były drewniane, powietrze było wprawdzie złe, ale jednak nie tak ostre, jak tam. Mężczyźni, kobiety, dzieci siedzieli, leżeli albo stali naokoło i zabierali, w jaki

¹⁾ Gdym później tu przybył, dowiedziałem się, że w końcu października przeniesiono dwieście kobiet i dzieci do wynajętego w tym celu domu, podczas gdy tysiąc pięćset innych zesłańców przeprowadzono do więzienia miejskiego i domu poprawczego. Stało się to wskutek wybuchłego epidemiecznie w więzieniu etapowym tyfusu.

mogli sposób, w posiadanie każdy łokieć kwadrato-
wy przestrzeni.

Dość już słyszałem jęków i prosiłem dyrekto-
ra o pokazanie nam oddziału chorych. Był to bu-
dynek dwupiętrowy w pobliżu cerkwi. Przy drzwiach
spotkaliśmy lekarza więziennego doktora Orzeszkę,
silnie zbudowanego mężczyznę z dobrodusznem obli-
czem. Był on Polakiem.

Szpital nie różnił się niezem szczególnem od
tego, jaki widzieliśmy w Tiumeniu, stał tu tylko
oddzielnie i zdawało się, że w nim było więcej
porządku.

Pierwotnie był on przeznaczony do przyjęcia
pięćdziesięciu chorych, ilość jednak tychże zmusiła
do tego, że w tym samym lokalu pomieszczono po-
trójną ich liczbę i przytem leżało jeszcze zawsze
około pięćdziesięciu na ławkach, albo na podłodze.
Podczas naszej wizyty znajdowało się w szpitalu
193 osoby, między którymi 71 chorych na tyfus.

Pokoje dla chorych były, mimo przepelnie-
nia, czyste, pościel na łóżkach czysta i powietrze
nie tak zepsute, jak w oddziale dla chorych w Tiu-
meniu. Czarne tabliczki u wezglowia wązkich łózek
mieściły napisy, z których było widać, że więźnio-
wie chorowali głównie na tyfus, skorbut, szkarla-
tynę, reumatyzm, anemię i bronchit. Między pie-
lęgniarkami znajdowały się kobiety w wieku lat
dwudziestu z całkiem inteligentnemi twarzami. Na-
leżały one, bezwątpienia, do lepszych kół towarzy-
skich, być może były to studentki medycyny.

Gdyśmy zwiedzili szpital, o ile można było
najdokładniej, podziękowaliśmy dyrektorowi Iwa-

nence za uprzejmość w oprowadzaniu nas i informowaniu, i powróciliśmy do domu.

Nocy tej długo nie mogłem zasnąć, gdy wreszcie to nastąpiło, gnębiły mnie sny o przepelnionych „bałaganach“, z martwymi niemowlętami w łaźni, o twarzach trupio-bladych, które widziałem w więzieniu etapowym w Tomsku.

Aby dać czytelnikowi możliwie jasne pojęcie o strasznej nędzy, jaką ciągnie za sobą system deportacyjny, trzeba jeszcze, bym w paru słowach opowiedział o stanie, w którym znajdowało się, w dwa miesiące później, więzienie etapowe w Tomsku.

Gdym w miesiącu lutym powracał ze Syberii wschodniej, miałem dość długą rozmowę z drem Orzeszko. Opowiadał mi on, że po naszym odjeździe stan więzienia jeszcze się o wiele pogorszył i zaznaczył przy tem:

— Nie może pan sobie wyobrazić, co się działo u nas w listopadzie. Mieliśmy w ciągu roku 2,400 wypadków zachorowania, z nich 450 jednocześnie i przytem tylko 150 łóżek. Trzysta osób śmiertelnie chorych, mężczyzn i kobiet leżało rzędami na ziemi. Musiałem ich tak gęsto jedno obok drugiego kazać ułożyć, że nie było dla mnie przejścia między nimi. Chory nie mógł spluwać lub wymiotować, by nie zanieczyścić przy tem sąsiada. Powietrze było zepsute, tak, iż często przy odwiedzinach wpadałem w omdlenie; aby powietrze choć cośkolwiek polepszyć, musieliśmy otwierać okna,

a było to w zimie, nie mogliśmy doprowadzić temperatury nad podłogą, na której leżeli chorzy, nigdy wyżej po nad pięć do sześciu stopni ciepła Reaumur. Więcej, niż czwarta część ilości więźniów była chora i więcej niż 10 procent tych chorych zmarło ¹⁾.

— I jak długo trwa już ten stan okropny?— zapytałem.

— Jestem piętnaście lat tutaj—odpowiedział— i w ciągu tego czasu stan ten jest prawie bez zmiany ²⁾.

¹⁾ Sprawozdanie inspektora transportowego przedstawia w jakiej mierze liczba chorych powiększała się w stosunku do przepelnienia:

1885	Zapadało na chorobę przeciętnie	
	codziennie:	procentowy stosunek odnośnie do liczby więźniów:
Czerwiec	108	5,8
Lipiec	170	6,9
Sierpień	189	7,1
Wrzesień	242	9,6
Październik	356	15,4
Listopad	406	23,2

Ilość zaslabnięć zwiększała się jeszcze w ciągu pory zimowej, aż póki w miesiącu marcu nie dosięgała 40,7 procentu najwyższego swego punktu. Znaczy to, że prawie połowa więźniów było chorych.

(Sprawozdanie inspektora transportowego za 1885 roku, strona 30).

²⁾ Sprawozdanie wydziału medycznego; ministeryum spraw wewnętrznych wykazuje, że w 1882 r., w więzieniu tomskiem etapowem, znajdowało się w leczeniu 1,268 osób chorych na tyfus i 1,311 na dyfteryt, krosty i ospę.

— Czy rząd w Petersburgu zna te stosunki?

— Corocznie przesyła się sprawozdanie. Proponowałem, aby spalono tutejsze więzienie etapowe, gdyż jest ono tak przesycone zarazkami, że nie powinno w żaden sposób służyć do użytku. Otrzymaliśmy polecenie, aby opracować plany nowego szpitala i przesłać je, co też zrobiliśmy. Odesłano je nam dla poczynienia zmian, które dokonaliśmy. Ale wszystko zostało jak było.

Te szczere wyjaśnienia lekarza więziennego w Tomsku nie potrzebują dalszych komentarzy. Wystarczają one, aby w imię cywilizacji i ludzkości podnieść głos oskarżenia przeciw więzieniu etapowemu w Tomsku.

8. Zesłańcy polityczni i zwyczajni przestępcy w Tomsku.

— Jak się panu udało dostać do więzień i domów etapowych na Syberyi? W jaki sposób zdołał pan zawrzeć znajomość z zesłańcami politycznymi i na jakiej drodze otrzymał pan możność zapoznania się z wielu dokumentami urzędowemi? Czy rzeczywiście zamiar pański nie był wiadomy władzom miejscowym? można o tem słusznie powątpiewać. Ale, jeżeli o nim wiedziały, czemu nie przeszkodziły panu w pańskich badaniach, lub przynajmniej nie usiłowały przeszkodzić?

Te i podobne pytania stawiano mi często po moim powrocie z Syberyi. Nie mogę na to dać całkiem zadawalającej odpowiedzi, gdyż pozostało dla mnie niewiadomem, jakie wskazówki, odnośnie do nas, otrzymywały władze miejscowe, i jak patrzyła policya syberyjska na nasze zachowanie się. Ale mogę objaśnić stosowaną przez nas taktykę, wyłożyć środki, do jakich uciekaliśmy się, aby nie budzić

podejrzenia i wyjaśnić przyczyny, które mogły usposobić włóścian syberyjskich nieprzychylnie dla nas.

Przedewszystkiem mniemam, że władze wyższe, które prosiłem w Petersburgu o pozwolenie, abym mógł zwiedzić więzienia i badać system deportacyjny, mogły rozumować w następujący sposób:

Nie jest to wcale możliwem i wreszcie jest nawet nierozsądnem, trzymać cudzoziemców zdala od Syberyi, gdyż inne narody nie mogą powściągnąć dążeń, aby poznać system naszych zesłań. Gdy wzbronimy bezwzględnie dostępu na Syberję powiedzą, że to dlatego, iż boimy się oka ludzkiego. Mister Kennan przybywa do nas przychylnie usposobiony, bronił on nas w jednym odczycie w towarzystwie geograficznem amerykańskiem i naszego systemu deporacyjnego i okazał się wrogiem nihilistów; chce więc prawdopodobnie w Syberyi zebrać dane, któreby potwierdzały, jako dowody, jego poglądy. Możemy zatem przypuszczać, że na stosunki nie będzie patrzył nieprzychylnie i jeśli już kto ma zwiedzać Syberję, to będzie najlepiej, że tam pojedzie on i zwiedzi więzienia¹⁾. Pan

¹⁾ Sekretarz ministerjum spraw zewnętrznych, p. Wlaugali, znał wspomniany odczyt o Syberyi i systemie deportacyjnym. Do wniosku, że nie zmienię zdania, mógł przyjść z mych, szczerze i uczciwie przed nim wypowiedzianych, opinii. Przyrzekłem nie występować jako obrońca rządu rosyjskiego, ale oświadczyłem, że nie jest dalszem odemnie, jak chęć pisania historii sensacyjnych. Byłem zdania, że system

Lansdell ogłosił właśnie nieprzychylnie sprawozdanie o naszym sytemie karnym, od pana Kennana czyż możemy oczekiwać tego samego, skoro jest dla nas usposobiony bardzo przyjaźnie? Opowiadania tych dwóch panów zaspokoją ciekawość Zachodu i położą koniec dalszym badaniom i złym sądom. Gdy duchowny angielski i amerykański dziennikarz oświadcza, że zbadali stosunki na miejscu i znaleźli system deportacyjny weale nie tak ciężkim, jak niektórzy sądzą, to z pewnością to zniweczy podejrzenie świata. Możemy więc mistr. Kennanowi i jego przyjacielowi mistr. Frostowi spokojnie pozwolić jechać na Syberyę i dać mu nawet listy polecające. Ale pozwolenie obejrzenia więzień powinno mu być zawsze udzielane przez władze miejscowe, albo też nie udzielane przez nie. W ten sposób możemy, ilekroć uznamy to za potrzebne, odmówić tajnie pozwolenia. Wprawdzie należy się obawiać, że się oni zetkną z zesłańcami politycznymi, ale nieprzypuszczalnem jest, że ci na ich zdanie mogą wpłynąć w sensie dla nas nieprzyjaznym, gdyż oni wyrażają o tego rodzaju przestępcach opinię jaknajnieprzychylniejszą; i umocni się ona, gdy tym panom przedtem damy możność zapoznania się z Katkowem. Gdyby zaś ich stosunki z zesłańcami politycznymi przybierały charakter nie-

deportacyjny był traktowany dotąd w oświetleniu zbyt nieprzychylnem i będzie z pożytkiem dla całego świata cywilizowanego i dla rządu rosyjskiego, gdy zostanie przedstawiony słusznie i sprawiedliwie. Takie wówczas, było moje rzeczywiste zdanie.

pożądaney zażyłości, to jeszcze zawsze „możemy przedsięwziąć środki zapobiegawcze”.

To wszystko jest wprawdzie tylko moje przypuszczenie, ale jest ono bardzo prawdopodobne ze względu na to, czegośmy w Syberyi doświadczyli. Wszędzie wydawało się, że władze miejscowe miały zupełną swobodę w decydowaniu, czy nam pozwolić na zwiedzanie więzienia, lub też tego odmówić, przyczem mogły się one kierować tylko własnymi poglądami i względami. Musieliśmy się zatem przedewszystkiem starać uzyskać zaufanie władz na Syberyi i odnośnie do przestępców politycznych przedsiębrać nasze badania tak ostrożnie, aby przez to nie mogło przeciw nam powstać jakie podejrzenie. Większa część liczby wszystkich miejscowości, o jakie musieliśmy zawadzić na Syberyi, znajdowała się w telegraficznem połączeniu z Petersburgiem. Gdyby policya zauważyła, że się żywo interesujemy przestępcami politycznymi i że otrzymywaliśmy od nich rekomendacye od jednej kolonii do drugiej, to, prawdopodobnie, zatelegrafowanoby do Petersburga: „Kennan i Frost wchodzą wszędzie w porozumienie z administracyjnymi zesłańcami i przestępcami politycznymi. Czy rząd na to pozwala?” Podobne zapytanie ściągnęłoby na nas co najmniej ostrzeżenie, surowszy nadzór nad naszym postępowaniem, co by dla nas niemałą stanowiło przeszkodę.

Nasze rekomendacye ministeryalne mogły nas zapewne obronić przed samowolą władz miejscowych, ale były bezskuteczne zupełnie wobec pochodzącego z Petersburga rozkazu wszczęcia śledztwa

lub zaaresztowania. Tak wisiało prawie przez rok cały nad naszymi głowami, jakby miecz damoklesowy, niebezpieczeństwo na cienkim drucie telegraficznym.

Aż do przybycia naszego do Ust' Kamienogorska nie dostrzeżliśmy żadnego skrępowania ze strony policji i nikt nam nie próbował przeszkadzać do stosunków naszych z zesłańcami politycznymi. Pomnażaliśmy jednak nasze notatki coraz więcej i było w nich nie mało rzeczy, które mogły, dla osób, jakie nam pośredniczyły, stać się przykremi, w razie, gdyby policja znalazła u nas te dowody piśmienne.

Zdawało nam się zatem, że najlepiej będzie, gdy ukryjemy nasze interesy polityczne po za innymi i utrzymywać będziemy z władzami miejscowymi dobre porozumienie. W każdej miejscowości pierwszą moją troską było oddać wizytę inspektorowi, jako zwierzchnikowi policji, jeszcze wprzód, niż sam on o tem pomyślał, aby śledzić nasze postępowanie i zamiary—udzielić mu jaknajszerszych informacyi. Zesłańcy polityczni, z którymi zawieraliśmy znajomość, dostarczali nam wskazówek co do charakteru prawie wszystkich urzędników, z którymi mogliśmy wejść w zetknięcie, czem ułatwiali nam nadawanie odpowiedniej formy naszemu, względem nich, zachowaniu się, co w stosunkach z nimi nie mało nam oddawało usługi. Aby okazać urzędnikom nasz wysoki szacunek, składaliśmy im zawsze wizyty w stroju uroczystym, piliśmy z nimi wódkę, aż dopóki wszystko nam się w oczach nie dwoiło, podechlebialiśmy się ich małżonkom, mister

Frost szkicował ich dzieci—krótko mówiąc, na dzień wypadków dziewięć razy w ciągu 48 godzin pozyskiwaliśmy zaufanie i przyjaźń biurokracyi miejscowej.

Aby trzymać od siebie zdala niższych policyantów wystarczało, że pokazywaliśmy się, jak można było najczęściej, w towarzystwie ich przełożonych, i aby mieszkańcom nie dać poznać naszych zamiarów, zwiedzałem szkoły, robiłem tam notatki i zapytywałem nauczycieli o dane statystyczne, podczas gdy mój towarzysz na ulicach szkicował i zbierał rośliny, uganiał się za motylami, albo miał wykłady dla pocztmistrzów i muzyków z dziedziny geografii, krajoznawstwa i astronomii. To ostatnie sprawiało mu wiele zadowolenia i okazało się także pożytecznym środkiem do odwracania od siebie ciekawości ludzkiej.

W ten sposób mogli ludzie sądzić, że nasza podróż miała na celu badania naukowe na Syberyi i że głównie zajmujemy się szkolnictwem, sztuką, botaniką, geografją i starożytnościami. Gdyśmy takimi środkami odwrócili od siebie uwagę policyi i mieszkańców, mogliśmy, nie śledzeni, poruszać się i codziennie poświęcać godziny wieczorne zesłańcom politycznym.

Jeśli nas nawet kto widział, że wchodzimy do domu którego z zesłańców, to tłumaczył sobie tę wizytę zapewne okolicznością, że wśród tych ludzi było wielu poświęcających się nauce, i którzy mogli nas dlatego interesować. Gdyśmy posunęli się dalej na wschód, gdzie zesłańcy polityczni są surowiej strzeżeni, staraliśmy się zastosować do od-

miennego położenia rzeczy, ale nasze postępowanie było zawsze stałe i pełne pewności siebie i wszędzie usiłowaliśmy odwrócić uwagę od głównych naszych celów i zwrócić ją na rzeczy całkiem podrzędne.

Nasze stosunki z zesłańcami politycznymi nie mogły, naturalnie, nigdzie pozostać dla policyi w tajemnicy, ale ich rozciągłość i znaczenie były jej, bezwątpienia, nie znane. W każdym razie oszczędzono nam telegraficznych co do nas zarządzeń z Petersburga, jakich obawialiśmy się, a nawet „ostrzeżenie“ dosięgło nas dopiero za Bajkałem.

Przeciwnie, nasze zamiary we wszystkich okolicach Syberyi, popierali niekiedy uczeńsi inteligentni urzędnicy; potępiali oni system deportacyjny wogóle, albo z pewnej jakiejś strony i byli, jak się zdawało, zadowoleni, przedstawiając badaczom zagranicznym wady tego środka kary, nadużycia i okrucieństwa, jakie przytem zachodzą. Tego w samej rzeczy nie oczekiwałem! Często byłem całkiem zdumiony pełną odwagi otwartością, z jaką mówili z nami, gdy tylko upewnili się, że nie potrzebowali wobec nas poddawać się szczególnemu przymusowi. Jeden wyższy urzędnik wydziału więziennego rzekł dnia pewnego do mnie.

— System deportacyjny daje mi utrzymanie i nie mogę się skarżyć ani na stanowisko, jakie zajmuję, ani na dochody; ale chętnie zrzekłbym się wszystkiego, gdyby usunięto ten system, który Syberyi nawet nie mniejszą przynosi szkodę, niż zesłańcom i pociąga za sobą cały ogrom nędzy. Ale cóż na to poradzić? Gdy w tym sensie wypowia-

damy się wobec naszych zwierzchników w Petersburgu, to ściąga to na nas jedynie surowe kary. Nauczyło mnie to, że najlepiej jest działać i — milczeć.

Drugi urzędnik opowiadał mi:

— Dosyć często wysyłałem wyczerpujące sprawozdania, dotyczące nadużyć i nędzy, które się zdarzają w mym okręgu, ale nie przez to nie osiągnąłem, może będzie lepiej, gdy pan te stosunki przedstawi. Tutejsze więzienie nie jest odpowiednie na pomieszczenie nawet dla psów, tem mniej jeszcze dla ludzi. Od wielu lat wciąż ponawiałem usilnie propozycje wzniesienia potrzebnych nowych budynków, ale jedyna rzecz, którą osiągnąłem—to pisanina bez końca.

Podobne wynurzenia słyszałem jeszcze od najmniej dwudziestu cywilnych i wojskowych urzędników, zajmujących wybitne stanowiska i niektórzy z nich dostarczali mi nawet, jako materiał dowodowy, danych statystycznych i innych.

Dalej, nasze usiłowania, aby zaznajomić się z systemem zesłania politycznych przestępców, popierali ludzie, którzy byli stronnikami kierunku liberalnego i okazywali więźniom żywą sympatyę. Do jakiego stopnia te przekonania były rozpowszechnione, rząd rosyjski prawdopodobnie wcale nie przypuszczał.

Jednego wieczoru byłem w pewnym mieście syberyjskiem obecny na zebraniu socjalistycznym. Znajdowali się tam członkowie rady miejskiej, sześciu do ośmiu oficerów i wszyscy zesłańcy polityczni w tej miejscowości. Wszyscy jaknajprzyjaź-

niej obcowali ze sobą. Oficerowie wygłaszali poglądy jaknajbardziej wolnomyślne i śpiewali chórem wraz z innymi pieśni rewolucyjne. Nie był to wypadek odosobniony; prawie w każdej okolicy Syberyi spotykałem „nieprawomyślnych” tego rodzaju, a nawet w Petersburgu—gdym ze Syberyi tam powrócił—spotykałem urzędników, którzy utrzymywali stosunki z zesłańcami politycznymi i dostarczali mi interesujących dokumentów lub opisów z tychże. Studyowanie zatem systemu deportacyjnego nie jest wcale tak trudne, jakby można mniemać, zwłaszcza, gdy się ma poparcie urzędników, którzy pragną, by prawda otrzymała jaknajszersze rozpowszechnienie, obywateli, którzy sympatyzują w głębi duszy z bojownikami wolności, i nakoniec także nawet zesłańców politycznych, którzy ten system znają z własnego doświadczenia.

W Tomsku po raz bierwszy zetknąłem się z tymi zesłańcami politycznymi, którzy za udział w tak zwanej, „Propagandzie,” w czasie od 1772—1875 r., na mocy wyroku sądowego zostali zesłani i rzeczywiście byli rewolucjonistami, Różnią się od administracyjnie zesłanych w Siemipalatyńsku, Ulbińsku i Ust’ Kamienogorsku, najwyżej tem, że byli na zesłaniu dłużej i posiadają więcej pod tym względem doświadczenia. Jeden z nich, pisarz wybitnych zdolności, niżej trzydziestu lat wieku, nazwiskiem Chudnowski, mówił mi, że był po raz pierwszy zaaresztowany jako dziewiętnastoletni student i od tego czasu prawie bez przerwy znajdował się pod nadzorem policyjnym, w więzieniu lub na zesłaniu. Cztery lata i trzy miesiące przebył on

w odosobnionem więzieniu pod śledztwem i dwadzieścia miesięcy w kazamatach twierdzy Petropawłowskiej.

Gdy szemrał na zle obchodzenie się z nim i postawił usprawiedliwione żądania, żeby mu dano materyały do pisania, aby mógł napisać skargę do ministra spraw wewnętrznych, okuto go na ręce i nogi i w końcu nawet włożono na niego kaftan bezpieczeństwa. Wtedy odmówił przyjmowania pokarmów i doszło do tego, że lekarz więzienny stan jego uznał za niebezpieczny. Teraz dopiero zrobił ustępstwo komendant pułkownik Bogorodzkiej i kazał dostarczyć mu materyałów do pisania. Ale decyzji na przesłaną skargę nie otrzymał on nigdy. W końcu oddano go pod sąd w 1878 r., jako oskarżonego o to, że przemycał książki szkodliwe, uznano go za winnego i skazano na pięć lat robót ciężkich i utratę praw cywilnych. Uwzględniając długotrwałe więzienie pod śledztwem, sąd wyjednał u cesarza, że karę zmieniono na dożywotnie zesłanie do Syberyi wschodniej, dokąd też został wyprawiony.

Blisko pięcioletnie odosobnione więzienie i już siedem lat trwające zesłanie prawie każdegoby złamały; inaczej się stało z Chudnowskim, który nie stracił męztwa, ani siły woli. Przewyciężając wszystkie przeszkody, ciągnął on dalej swe studia, ukończył je i potrafił nawet na Syberyi stworzyć dla siebie zakres działania i stać się wybitnym człowiekiem. Napisał on doskonale i starannie opracowane studium o rozwoju oświaty na Syberyi; ukazało się ono w „Roczniku urzędowym” prowincji tomskiej za 1885 r.

Odbył on, przy poparciu „cesarskiego towarzystwa geograficznego“, dwie wyprawy naukowe do gór Altajskich, i należał do najpracowitszych współpracowników czasopism rosyjskich. Jego książka „Prowincya jenisejska“ — studjum statystyczne i ekonomiczne (Tomsk, 1885 r.) otrzymała wyznaczoną przez miasto Krasnogorsk na ten cel nagrodę. Wywarł on na mnie jaknailepsze wrażenie. Gdyby był obywatelem kraju wolnego, zrobiłby prawdopodobnie świetną karierę w życiu i szczyłałaby się nim jego ojczyzna. Na jego nieszczęście przecież był on Rosyaninem i losem jego musiały się stać—niewola i zesłanie.

Jednym z najwięcej interesujących zesłańców był na krótko przedemną przybyły pan Konstanty Staniukowicz, wspomniany wyżej właściciel i redaktor czasopisma „Dielo“. Był to subtelny i bystry obserwator stosunków społecznych Rosyi, utalentowany nowelista i autor wielu, przyehylnie przyjętych, utworów dramatycznych, był on, krótko mówiąc, energicznym, obdarzonym wielkimi zdolnościami człowiekiem. Jego żona, która mu towarzyszyła na Syberyę, z dziećmi, posiadała także, jak się zdaje, wyjątkowe wykształcenie; mówiła ona wybornie po angielsku. Najstarsze z trojga czy też czworga jego dzieci było to śliczne dziewczę w wieku lat siedemnastu.

Najprzyjemniejsze w Tomsku wieczory spędziliśmy w ich małym mieszkaniu, słuchając często do północy duetów, jakie śpiewali, ta dziewczyna i książę Krapotkin. Czasem rozmawialiśmy o stosunkach rosyjskich, albo porównywaliśmy wrażenia,

jakie na nas wywarły Londyn, Paryż, Berlin, Nowy York i st. Francisco; gdyż i państwo Staniukowicz zwiedzili, między innymi, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Obecnie usiłował on pracami literackimi zdobyć utrzymanie dla siebie i rodziny; pomagała mu w tem jego żona, udzielając lekyi muzyki. Czas ich zesłania oznaczono na trzy lata i jeśli rząd terminu tego samowolnie nie przedłużył, mogą obecnie, gdy te opowiadania są ogłoszone, być już wolnymi.

Ale ze wszystkich skazańców, którzy wtedy w Tomsku przebywali, żaden nie był dla mnie sympatyczniejszy od literata rosyjskiego, Feliksa Wołchowskiego, który został w 1878 r. zesłany na Syberyę na całe życie, za to, że, jak głosiło oskarżenie, „należał do stowarzyszenia, które zamierzało obecnie, albo później, obalić istniejący ustrój państwowy“. Był wtedy w wieku lat 38, człowiek inteligentny, prawy, wykształcony, który dobrze mówił po angielsku — przetłómaczył na rosyjski język poezye Longfellow'a i należał wogóle do najgorętszych wielbicieli tego poety — i który także znał dobrze historię Ameryki. I przecież życie tego, najsympatyczniejszego ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem, nie było niczem innem, jak przejmującą zgrozą tragedją. Długie więzienie w twierdzy Petropawłowskiej pobielilo mu włosy i zlamalo ciało, i gdy podniecenie nie ożywiało jego twarzy, smutek głęboki wyglądał z jego ciemnych oczu. Gdy po mym powrocie z Syberji wschodniej w 1886 roku, ostatni raz się z nim zęnałem, objął mnie, uściskał

i rzekł: „Jerzy Iwanowiczu, nie zapomnij o nas! Czuję w chwili rozstania, jak gdybyś brał ze sobą kawałek mego życia!“

Od czasu mego powrotu do Ameryki, otrzymałem tylko raz jeden wiadomość od Wołchowskiego. Zawiadamiał mnie w słowach wzruszających o samobójstwie swej żony. On sam wtedy wskutek prześladowania przez rząd liberalnej tomskiej „Gazety Syberyjskiej“ utracił zarobek i żona jego — widzę przed sobą jej kształtną postać z bladym, poważnym obliczem — usiłowała daniem lekcyi i szyciem zarabiać na ich utrzymanie. Ale troski, zgryzoty i natężenie sil wkrótce złamały jej delikatny organizm; chora i przybita sądziła, że jest ciężarem dla męża i dzieci, i położyła koniec swemu życiu przez wystrzał z rewolweru.

Wołchowski kochał ją głęboko i śmierć jej była dla niego ciężkim ciosem. W liście swoim przypominał mi on poezye James'a Russell'a Lowell'a, które mu posłałem. Pisał, że wiersz „After the burial“ (Po pogrzebie), dał mu poznać, iż ból wspólny jest dla całego świata, skoro oplakują on utratę małżonki w tych samych słowach, jakie odczuwał w głębi swego serca.

Jednocześnie przysłał mi stare skórzane pudełeczko do zapalek, które książę Krapotkin dał swemu zesłanemu bratu i które tenże znowu na krótko przed jej śmiercią podarował zmarłej. Drobnostka ta, jak się spodziewał, będzie miała dla mnie niejaką wartość, skoro związana jest ona z życiem czterech osób zesłanych; jedna — to zbieg, pozbawiony ojczyzny, druga — żyje jako zesłaniec w Tomsku,

a dwie uwolniły się od cierpień przez samobójstwo.

Chciałem list ten przeczytać mej żonie, ale nie mogłem zapanować nad sobą. Łzy tłumily mi głos, gdy pomyślałem o szlachetnym człowieku, który, złamany fizycznie, ze swemi małemi dziećmi, musiał cios ten znieść jeszcze.

Rząd może ludzi takich, jak Wołchowskij zamykać w głębokich kazamatach, gdzie stają się przedwcześnie starcami, może w szarej odzieży skazańców wysyłać ich do dalekiej Syberyi—ale przyjdzie czas, gdy ich nazwiska w księdze historii świetniejszemi, niż jego imię, błyszczeć będą głoskami i gdy opowiadanie o ich życiu i cierpieniach wszystkich, kochających wolność i ojczyznę Rosyan, natchnie sięgającym do granic poświęcenia heroicznego zapalem...

Tutaj, w Tomsku, odczuliśmy po raz pierwszy to rozdrażnienie nerwowe, które wywołuje widok niemożliwej do usunięcia niedoli ludzkiej. Nasza droga przez południowo-zachodnią Syberyę i Altaj prowadziła w oddaleniu od wielkiego traktu zesłańczego; zesłańcy polityczni w Siemipałatyńsku, Ulbińsku i Ust' Kamienogorsku byli stosunkowo jeszcze dobrze traktowani; dopiero w Tomsku mieliśmy sposobność poznać życie tych, godnych współczucia ludzi w całej okropnej rzeczywistości. Silniej jeszcze niż zimno, głód i znużenie odczuwaliśmy nerwowe podrażnienie, które owładnęło nami i nie porzucało nas do chwili, aż granice Syberyi pozostawiliśmy za sobą. Ktoby mógł zachować spokój na widok cierpień ludzkich, które uderzały nasze oczy w „bałaganach” i szpitalu tomskim! Kogo by nie wstrzą-

snęły do głębi te opowiadania tych dziejów niedoli, jakie slyszeliśmy w Tomsku, Krasnogorsku, Irkucku i za Bajkałem?!

Przypominam sobie jedną bladą, chorowitą kobietę, która zesłana była do Syberyi wschodniej. Chciała ona jednego wieczoru, bym wysłuchał historii jej cierpień, pragnęła tego mimo całej męki wspomnień, od czego chętniebym ją uwolnił, pragnęła, aby świat dowiedział się przezemnie, co znoszą Rosyanie, zanim stają się terrorystami. I, łkając, opowiadała.

Była to najsmutniejsza historia, jaką kiedykolwiek slysziałem!... Po takich opowiadaniach — a zdarzało się to często — nie mogłem znaleźć dla siebie spokoju, ani snu zakosztować. Te wstrząśnienia wraz z trudami podróży wpłynęły na moje zdrowie tak silnie, że wkońcu zasłabł ciężko za Bajkałem.

Ale nim porzuciłem jeszcze Tomsk, moje dawniejsze poglądy na nihilistów i zesłania uległy gruntownej zmianie.

W Tomsku i w drodze ztamtąd do Irkucka zdarzyła nam się po raz pierwszy sposobność poznać życie zesłańców podczas ich transportu. Przez cały rok wychodzi z Tomska i Irkucka co tydzień pochód zesłańców złożony z 300 do 400 osób i przebywa przestrzeń około 1,700 kilometrów w ciągu trzech miesięcy. W odległościach od 40 do 60 kilometrów znajdują się domy etapowe z załogą, złożoną z jednego oficera, dwóch albo trzech podoficerów i około 40 ludzi żołnierzy. Ponieważ jednak odległość od jednego etapu do drugiego bywa za

wielka, aby więźniowie zdołali ją przebyć w ciągu dnia jednego, mając obciążone nogi kajdanami, więc wzniesiono po drodze jeszcze budowle, „etapy polowe“, półetapami zwane, które służą transportom do przenocowania.

Pochody zesłańców muszą miesięcznie przejść około 500 wiorst (550) kilometrów, przy czem co trzeci dzień zatrzymują się na 24 godzin odpoczynku. Na każdym właściwym etapie eskorta się zmienia. Każdy więzień pobiera po 10 kopiejek na dzień, na utrzymanie; środki żywności kupuje u włościan, którzy dostarczaniem ich trudnią się zawo-
dowo. Odzież zesłańców składa się w lecie z koszuli, zgrzebnych spodni, obuwia wełnianego w rodzaju pantofli, przytwierdzonych rzemieniami do nogi, aby ją zabezpieczyć od ran z powodu tarcia, kajdan, czapki bez daszka, w kształcie szkockiej i wreszcie długiego, szarego kaftana wierzchniego. Odzież więźniów płci żeńskiej zrobiona jest z tychże materyałów, tylko tu spodnie zastępuje spódnica. Kobiety i dzieci, które towarzyszą dobrowolnie swym krewnym na Syberję, mają prawo noszenia swych własnych sukien oraz brania z sobą tylu bagaży, ile zwyczajny worek może pomieścić. Różnica w traktowaniu politycznych i zwyczajnych przestępców zasadza się tylko na tem, że pierwsi, o ile należą do szlachty lub do klas uprzywilejowanych, otrzymują o połowę więcej pieniędzy na życie i drogi nie odbywają pieszo, lecz jadą na telegach. Czas jakiś przewożono zesłańców politycznych pod strażą żandarmów pocztą, przyczem dojeżdżali oni do miejsce przeznaczenia prawie również szybko jak

podróżni prywatni. Wskutek wielkich kosztów zaniechano tego sposobu transportowania i zesłańców politycznych przesyłają teraz wraz ze zwyczajnymi przestępcami. Rezultatem tego jest, że pobyt ich w domach etapowych przedłuża się, a wypadki zachorowania i śmierci stały się tem częstsze.

Aż do 1885 r. nie rozdzielano zesłańców według płci; dopiero od tego czasu poczęto wysyłać nieżonatych więźniów oddzielnie. Ta inowacya zmniejszyła nieco zepsucie obyczajów, jakie musiało się szerzyć przy wspólnem obcowaniu płci obu przez wiele miesięcy, ale położenie rzeczy w tym kierunku i bez tego jest jeszcze dość złe, gdyż i w transportach familijnych znajduje się dosyć rozwieszonych osobników.

W poniedziałek rano, 24 sierpnia pojechaliśmy, ja i Frost, do więzienia etapowego, na zaproszenie oficera eskorty, kapitana Gudima, aby być obecnymi przy wymarszu pochodu zesłańców. Było zimno, wietrzno, bezchmurne jednak niebo obiecywało dzień ciepły, słoneczny. Gdyśmy przybyli, ludzie jeszcze nie wyszli i ponieważ spodziewaliśmy się, że kapitan Gudim był mocno zajęty, więc zczekaliśmy na dworze przed bramą więzienną. Siedziało tu kilku żołnierzy w swych ciemno-zielonych mundurach na ławce drewnianej, inni znów spędzali czas na przekomarzaniu się ze sprzedawczyniami artykułów żywności, które przysiadły na ziemi. Od czasu do czasu dawał się słyszeć z wnętrza zabudowań więziennych szczęk kajdan, czasem otwierała się brama, aby wpuścić więźniów, dźwigających wodę przyniesioną w drewnianych naczyniach na

długich drągach, przewieszonych przez ramiona. Kto chciał wejść, poddawany był rewizji przez wartowników, aby nie mógł przemycić do więzienia zakazanych przedmiotów, a głównie spirytualii.

O ósmej zajęchały przeznaczone pod przewóz chorych i słabych telegi. Podoficer, który siedział na dworze, podniósł się, ziewając, i wszedł zachmurzony na podwórze więzienne. Żołnierze pochwycili za bagaż i broń. Głośny, długotrwały szczeł kajdan, dawał nam znać, że transport się formuje. Kowal więzienny wyszedł; niósł on małe kowadło polne i inne narzędzia, na ręku zwieszał mu się pęk łańcuszków, które obojętnie zrzucił na ziemię. Żołnierze wzięli broń na ramię i ustawili się w półokrąg, podoficer z listą nazwisk zesłańców w ręku, drugi z przewieszoną torbą skórzaną, pełną monet miedzianych, zajęli miejsca u bramy, a na komendę „gotowe!” poczęli wychodzić więźniowie, jeden za drugim, najprzód ci, którzy byli skazani na roboty przymusowe. Oficer odczytywał po kolei nazwiska, przyczem rzucił przelotnie badawcze spojrzenie na więźnia, który się meldował.

Kowal przy pomocy żołnierza, sprawdzał czy kajdany są w dobrym stanie i podoficer wydawał ze swej torby skórzanej każdemu z zesłańców po 20 kopiejek na pożywienie przez pierwsze dwa dni. Następnie ustawiali się oni w dwa rzędy, aby ich łatwo można było porachować, zdejmowali czapki, aby oficer mógł sprawdzić, czy ich głowy z prawej strony, zgodnie z przepisami, są ogolone. Potem przechodzili koloniści karni, których w podobny sposób traktowano. Wraz z przybywaniem więź-

niów, żołnierze rozszerzali obejmujący ich półokrąg, który tworzyli.

Wreszcie cały transport wydostał się po za bramę, było w nim 400 osób. Każdy więzień niósł zgrzebny worek płócienny, w którym znajdowało się nędzne jego mienie, niektórym także wisiały u pasa miedziane kociołki do gotowania, jeden niósł na rękę brunatnego pieska.

Znowu przerachowano więźniów, poczem worki włożono na telegi. Skorzystałem ze sposobności, aby z tym i owym pogawędzić. Ku memu zdumieniu jeden więzień przemówił do mnie po angielsku.

— Kto pan jest?—zapytałem w tymże języku.

— Jestem włóczęgą—odpowiedział ze spokojną powagą.

— Jak pańskie nazwisko?

— Iwan Nicniewie — była jego odpowiedź; a obejrawszy się ostrożnie i przekonawszy, że oficer eskorty nie może go słyszeć, dodał po cichu; —Moje rzeczywiste nazwisko jest Jan Andersen, rodem z Rygi.

— Zkąd pan umie mówić po angielsku?

— Jestem pochodzenia angielskiego; prócz tego bywałem jako majtek często w portach angielskich.

Zbliżenie się kapitana Gudima położyło koniec tej rozmowie

Liczba „brodiag”, włóczęgów, była w tym transporcie bardzo wielka; większość ich byli to zbiegli przestępcy z rodziny „Nieniewie”. Ujęto ich w Syberyi zachodniej albo też sami stawili się podczas zimy dobrowolnie; zmuszeni głodem.

Kapitan Gudim był zdania, że między nimi znajdowali się tacy, którzy już sześć razy uciekali.

— Chłopczy! — zawołał do gromady — wielu z was idzie już po raz szósty do robót ciężkich?

— Bardzo wielu!—odpowiedziało kilka głosów.

Posiwały, zakuty w kajdany skazaniec wystąpił naprzód i przyznał się, że uciekał już cztery razy z kopalni i wraca tam teraz poraz piąty. Człowiek ten więc osiem razy przebył piechotą przeszło trzy tysiące kilometrów drogi między Tomskiem i kopalniami nad Karą.

— Znam „brodjag” — opowiadał kapitan — którzy szesnaście razy uciekali przez stepy i lasy, iszesnaście razy drogę tę odbywali w kajdanach. Jeden Bóg wie, jak oni sobie radzili, żeby z głodu nie umrzeć!

Kto zważy, że powędrować trzydzieści dwa razy przez Syberyę Wschodnią równa się obejściu ziemi wzdłuż równika, zaledwie może wytworzyć sobie pojęcie o energii i wytrwałości tych ludzi, o sile uczucia, które ich ciągnie ku stronom rodzinnym.

W 1884 r. ujęto na nowo 1360 „brodjag,” w Syberyi Zachodniej i wysłano napowrót do kopalni, a stu innych zginęło w lasach, z głodu i zimna. Jeden oficer rosyjski nazwiskiem Orfonow, który służył czas długi we Wschodniej Syberyi, opowiada w swoim sprawozdaniu, że raz w więzieniu w Kajdonowie, między Czyta i Nereczyńskiem, znalazł nie mniej, niż dwustu „Iwanów Niewiejakich,” razem zebranych.

W kilku z tych uciekinierów, z rozmowy z ni-

mi można, było poznać ludzi z wiedzą i wykształceniem. Tak np. jeden z nich, który, nawiasem mówiąc, przypatrywał się naszemu aparatowi fotograficznemu okiem znawcy, zapytał, jak traktują u nas skazańców, czy podczas pobytu w więzieniu mogą oni co zarobić, aby nie byli zmuszeni opuścić więzienie całkiem pozbawieni wszelkich środków do życia. Odpowiedziałem mu, że w większości więzień amerykańskich dają możność więźniom zarobienia czegośkolwiek.

— U nas jest inaczej — zauważył; — nadzy przychodzimy tam i nadzy ztąd wracamy i jednocześnie bywamy, gdy się tak nadzorcom spodoba, wychłostani.

— O nie! To się teraz nie zdarza—zaznaczył kapitan dobrodusznie.

— A jednak! zdarza się, wasza miłość! — oświadczył skazaniec pokornie, ale stanowczo. — Kto jest za chory, lub za osłabiony, aby wykonywać swą robotę, otrzymuje dwadzieścia uderzeń knuta.

Chętnie byłbym się go jeszcze rozpytał o niejedno, przeszkodził mi jednak kapitan, skierowawszy do mnie zapytanie, czy chcę zobaczyć, jak chorych i osłabionych ładują na wozy.

Przeznaczone na cel ten telegi były to jednokonne wózki bez resorów i tylko z dwoma siedzeniami dla woźnicy i nadzorca. Wyglądały one — jak już przedtem raz wzmiankowałem—jak połowa beczułki, wzdłuż przeciętej. Nędzniejszego wehikułu nie można sobie wyobrazić. W każdym znajdowało się nieco rozproszonego siana, które miało ni-

by łagodzić siłę wstrząśnienia, i musiało tam cztery osoby znaleźć sobie miejsce.

— Więźniowie ze świadectwem lekarskim niech wyjdą!—rozkazał teraz kapitan, i około trzydziestu osób, przyciśniętych wiekiem lub chorobą, wyszło naprzód. Podoficer odbierał świadectwa i przeglądał je. Gdy wszystko znalazł w porządku, biedacy mogli wleźć na telegi.

Jeden z mężczyzn musiał być, mimo swego złego wyglądu, symulantem, gdyż, gdy wlaźł na wózek, inni zasypali go całym gradem złorzeczeń i przekleństw. Niektórzy skazańcy umieją po mistrzowsku fałszować objawy choroby i czasem im się udaje wprowadzić w błąd najdoświadczonego lekarza więziennego.

Niekiedy ilość więźniów, którzy nie mogą na piechotę opuścić więzienia w Tomsku, jest bardzo wielka. W 1884 r. użyto 658 teleg do transportu, przyczem na każdej cztery osoby zajęły miejsca, co przedstawia ogólną ilość więźniów 2632; jest to łatwe do zrozumienia następstwo przepełnienia. Gdy wszyscy chorzy i słabi zajęli wskazane im miejsca, kapitan zdjął czapkę, przeżegnał się z pokłonem ku cerkwi i zawołał do skazańców:

— Naprzód, chłopcy! Szcześliwej drogi!

— Na prawo! Naprzód! Marsz!—zakomenderował podoficer i, dźwięcząc kajdanami, jak zwykle, pochód ruszył, okrażony żołnierzami, w swą, wynoszącą tysiąc pięćset kilometrów, drogę, do kopalń zabajkalskich.

Na przodzie szli zesłańcy, za nimi jechały telegi z chorymi, następnie kilka wozów z bagażami

pod strażą żołnierzy, pochód zamykały: tarantas, w którym siedział prowadzący eskortę oficer, nasz przyjaciel, kapitan Gudim, oraz nasz pojazd. Transport robił około trzech kilometrów na godzinę. Wkrótce pogrążył się on w gęstym obłoku pyłu, który się wzbijał z pod powłóczystych kroków nóg, okutych w kajdany. W dni gorące i suche, pył jest najprzykrzejszą plagą dla transportowanych, zwłaszcza dla chorych, kobiet i dzieci. Mogłem dostrzeżeć po owym obłoku pyłu, który się unosił nad nimi więcej niż na odległość półtora kilometra ślad przechodzenia transportu więźniów.

W odległości ośmiu kilometrów od Tomska przybył transport do kaplicy, otwartej ze wszystkich stron i mającej w swem wnętrzu figurę Chrystusa, grubo z drzewa wyciosaną. Tak samo jak przy wymarszu z Tomska, większość więźniów zdjęła czapki i tu także, i nabożnie się przeżegnała. Włościanin rosyjski rzadko tego zaniedbuje, choćby był rozbójnikiem lub mordercą.

Na pierwszy odpoczynek wybrano miejsce, oddalone od Tomska o piętnaście kilometrów. Tu znalazły się dziewczęta i kobiety z artykułami żywności i napojami, do sprzedania więźniom. Na ich widok zawołali, kilkakrotnie idący na przodzie, doświadczeni „brodżagi” wesóło: „Priwał”. Tak się mianowicie nazywa miejsce, przeznaczone na odpoczynek południowy. Wołania te przebiegły przez cały pochód, aż dosięgły do teleg i wszyscy poczęli się śpieszniej posuwać. Marsz przez więcej niż 15 kilometrów może znużyć nawet zdrowego, silnego człowieka, a tembardziej przez umartwienia wszel-

kiego rodzaju osłabionego i dźwigającego kajdany więźnia. Zaledwie zakomenderowano odpoczynek—wszyscy rzucili się na ziemię i pousiadali, albo legli. Po chwili wytchnienia rozpoczęło się zakupywanie chleba czarnego, ryb, jaj gotowanych, mleka i kwasu, narodowego napoju rosyjskiego, i wkrótce też zajęli się wszyscy posiłkiem.

Za pozwoleniem oficera eskorty mój przyjaciel Frost fotografował tę scenę. Około godziny drugiej transport ruszył w dalszą drogę.

Popołudniu nie zdarzyło się nic szczególnego. Doświadczeni „brodjagi” mówili dość głośno, zagłuszając szcęk kajdan, a nowicyusze przysłuchiwali się uważnie ich opowiadaniom, czasami zadając im zapytania. Doświadczony „brodjaga”, który tę drogę już kilkakrotnie przebył, zna ją bardzo dokładnie, zna charakter i temperament wszystkich oficerów eskorty między Tomskiem i Karą.

Niebezpieczeństwa, jakie przebył w pierwotnych lasach syberyjskich, wzmocniły jego energię i zaufanie w swe siły, co nadaje mu pewien aurytet wobec młodszych kolegów. Dumnie nazywa prawdziwy „brodjaga” „ostrog”, (więzienie) swym ojcem i „tajgę” (las pierwotny) swą matką i często całe jego życie wypełnia wędrowanie od „ojca” do „matki” i napowrót. Rzadko udaje się któremu uciec z Syberyi; nawet gdyby mu się udało osiągnąć doliny Obi, wcześniej, czy później, zostaje ujęty, albo zmuszony przez głód i zimno wrócić dobrowolnie.

Pewien oficer etapowy wyrzekł raz do jednego „brodjagi” charakterystyczne słowa:—Pastwisko ce-

sarskie jest wielkie, nie możesz przekroczyć jego granic. Znajdziemy cię, o ile nie umrzesz!

Brodjagi opowiadali głównie o swych czynach i przygodach w kopalniach i lasach. Obecność żołnierzy eskorty nie krępowała ich wcale.

Od Tomska do pierwszego pół-etapu odległość wynosi około 30 kilometrów. Sciemniało się już, gdy zesłańcy ujrzeli w dali spiczaste palisady, po za którymi mieli przepędzić pierwszą noc po wymarszu.

Syberyjski pół-etap jest to oparkaniona przestrzeń około 200 metrów długości i 25 metrów szerokości, na której znajduje się dwa lub trzy drewniane baraki. Najmniejszy przeznaczony jest dla oficera eskorty, drugi dla żołnierzy, a trzeci, największy, dla zesłańców. Ostatni pomalowany jest zwykle na żółto, jak prawie wszystkie domy etapowe Syberii. Urządzenie składa się z murowanego pieca i dwóch rzędów tapezanów. W ostatnim sprawozdaniu inspektora transportu więźniów zaznaczono, że „wszystkie etapy i pół-etapy między Tomskiem i Aczyńskiem z wyjątkiem niewielu — są nietylko za małe, ale i zrujnowane, i wymagające gruntownej reperacji” — co mogę potwierdzić na podstawie własnego doświadczenia. Główną wadą i także znamioną właściwością wszystkich więzień syberyjskich jest to, że są za małe. Były one zbudowane przed 30 lub 50 laty, w czasach, gdy jeden transport rzadko więcej miał nad 150 osób i muszą obecnie mieścić trzykroć większą ilość¹⁾. Następ-

¹⁾ Pisarz rosyjski, Maksimow, opowiada w swojej książce „Syberia i roboty przymusowe”, że na jednym z tych eta-

stwem tego jest, jak zaznacza inspektor, że przy łagodnej temperaturze połowa transportowanych nocuje pod otwartym niebem na gołej ziemi, a podczas niepogody przepelniają więźniowie izby, korytarze, nawet składy żywności. Na ochędóstwo nie zwraca się żadnej uwagi; prawie wszystkie pomieszczenia są brudne, okien nie można otwierać i mimo znanego dobrze przepelnienia, nie zrobiono nic, aby choć w nieznacznym stopniu ułatwić zmianę powietrza.

Gdy transport nasz po utrudzającym marszu przybył, nakoniec na pół-etap Semiluszna, musieli skazańcy wprzód ustawić się w szeregu, aby nawiwo sprawdzono obecność wszystkich. Gdy się to stało, otwarto drewnianą bramę i 300 zakutych w kajdany ludzi rzuciło się przez nią, potykając się, walcząc o miejsce, tłocząc, aby jaknajprędzej dostać się do izby i zabezpieczyć sobie miejsce do spania. Każdy wiedział, że jeżeli mu się nie uda zająć miejsca na tapczanie, będzie musiał przenocować na brudnej podłodze u wejścia, albo na podwórzu. Niejednemu mniej idzie o dogodne miejsce do własnego użytku, ile o to tylko, aby wywalczywszy je dla siebie, sprzedać je potem za kilka kopiejek towarzyszowi, lubiącemu wygodę, który nie potrafił zdobyć dla siebie żadnego miejsca do spania.

Wreszcie uspakaja się wszystko i więźniowie

pów w Syberji zachodniej zastał razem 512 osób. A wyżej wspomniany oficer rosyjski, Orfonow, pisze, że w jednym z etapów Syberji wschodniej, przeznaczonym dla 140 osób, rzadko znajdowało się mniej niż 500, a czasami nawet 800

przygotowują się do spożycia wieczerzy. Kto był dość bogaty, kupił sobie od żołnierzy kociołek wody gorącej za dwie kopiejki i przygotowuje sobie herbatę. Dla innych przyniesiono zupę z kuchni żołnierskiej, a kto miał jeszcze resztki z zakupionej w południe żywności, ten je spożywał, przykłęknąwszy na tapczanie, lub oparłszy się gdziekolwiek indziej. Ta wieczerza bywa jeszcze skąpsza, lub całkiem na nią żywności nie starczy zwłaszcza gdy kobiety włościańskie jej nie dostarczą. Nie mają one obowiązku zaopatrywać zesłańców w żywność, a administracya zesłańcza wcale się nie troszczy o nich; zadawalnia się ona wydawaniem więźniom pieniędzy na strawę i pozwala włościanom oraz żołnierzom eskorty sprzedawać im żywność. Podczas drożyzny niemożliwym jest dla zesłańców, z małego zasiłku, jaki otrzymują, zakupić tyle żywności, ile im potrzeba, aby głód zaspokoić. W jednym okręgu wschodnio-syberyjskim, gdzie wówczas był zły urodzaj, mogli zesłańcy z wydawanych im dziesięciu kopiejek na dzień kupić zaledwie półtora funta chleba czarnego. Oficerowie etapowi skarżyli się także na obojętność rządu wobec udręczeń zesłańców; uważali oni, że niesłusznem było i niesprawiedliwym dawać człowiekowi tylko półtora funta chleba czarnego i zmuszać go przytem do robienia codziennie w kajdanach na nogach 25 kilometrów marszu. Na odnośne skargi i przełożenia oficerów etapowych, o ile mi było wiadomem, nie zwracano uwagi, chociaż w ustawie wydziału więziennego i deportacyjnego, gubernatorzy, w czasie drożyzny,

obowiązani są podwyższać zasiłki na pożywienie. (Okólnik Nr. 10887, z 15 Grudnia, 1880 r.)

Po wieczery zostali więźniowie jeszcze raz zgromadzeni w podwórzu, potem postawiono wartowników po czterech rogach i przy bramie, w każdej izbie zapalono świecę łojową, w celach i korytarzach ustawiono „parasze”, są to otwarte kubły drewniane na nieczystości, — i wreszcie więźniowie zostali zamknięci.

Więcej niż połowa liczby zesłańców leżała na brudnej podłodze, bez poduszek i kołder. Powietrze w tych pomieszczeniach było w ciągu nocy ponad wszelką miarę zepsute; pojęcie o tem ten tylko mógł sobie wytworzyć, kto był obecny rano przy otwarciu drzwi. Nie mogę sobie wytłumaczyć, jak istoty ludzkie mogą w takich warunkach przebyć drogę do kopalni nad Karą. Pierwotnie zamierzałem prosić jednego zaprzyjaźnionego z nami oficera etapowego, aby mi pozwolił przepędzić noc w celi, ale gdym rano przy otwarciu odetchnął tem powietrzem, nie mogłem się na ową próbę odważyć.

Drugi dzień marszu zesłańców, którzy wyszli z Tomaska 24 sierpnia, podobny był zupełnie do pierwszego. Po skąpem, pośpiesznie spożytem śniadaniu, następowało wywoływanie więźniów po nazwiskach, a potem wymarsz. I w tym dniu przerwę w marszu stanowią „priwał”. Popołudniu dosięgnął transport pierwszego pół-etapu, gdzie zmieniono eskortę i nastąpił odpoczynek 24 godzinny.

Etap główny różni się od pół-etapu większą przestrzenią, jaką zajmuje i innym podziałem budowli.

Podwórze jest tu obszerniejsze, cele nieco większe. Ale domy są zrujnowane i—co już parokrotnie wzmiankowałem — do tego stopnia przepelnione, że nawet połowa transportu nie może w nich się należycie pomieścić.

Najlepiej opisał pół-etapy general-gubernator Syberyi, generał Anuczyn, w swem tajnem sprawozdaniu, przedstawionem cesarzowi w grudniu, 1880 roku. Udało mi się otrzymać odpis tego dokumentu, w którym znajduje się ustęp: „Podczas mej podróży do Irkucka zwiedziłem zakłady karne, a między niemi więzienia miejskie i etapowe. Żałuję, że muszę oświadczyć, iż większość tych budynków znajduje się w stanie budzącym zgrozę, zwłaszcza te ostatnie. Z wyjątkiem niewielu, są one zrujnowane i nie odpowiadają najpierwszym wymaganiom sanitarnym. Są one przesycone zarodkami chorób, w zimie są zimne i łatwo z nich uciekać”.

Nic gorszego, jak to, co tu wypowiedziane było w skąpych słowach o więzieniach etapowych, nie miałbym i ja do powiedzenia. Jeśli te budowle wywarły na gubernatorze generalnym takie wrażenie — i można przypuścić, że przed jego inspekcją zostały, o ile to było możliwe, doprowadzone do pozornie niezłego stanu—jakież musiało być wrażenie, które wywarły na mnie, który miałem sposobność oglądać je w stanie codziennym! Muszę jednak zaznaczyć, że bywają i wyjątki, że nie wszystkie domy etapowe między Tomskiem i Irkuckiem znajdują się w tak okropnym stanie. Widziałem np. jeden we wsi Itaskaja pod Marynskim, który był

czystym i dobrze utrzymanym. Jest także możliwe, że znalazłbym jeszcze niejednego, o którym dałoby się powiedzieć to samo, gdyby mi był czas pozwolił zwiedzić wszystkie, które znajdowały się na tym trakcie. Ale wogóle opis generał-gubernatora odpowiada rzeczywistości wybornie.

— Budzący zgrozę stan więzień syberyjskich wydaje mi się następstwem nieuczciwości i niedolności zarządu i nieuniknionych błędów systemu biurokratycznego. Choć były tak złe te domy etapowe—kosztowały jednak bardzo wiele pieniędzy. W rzeczy samej więcej niż połową tych sum podzielili się oszukańczy dostawcy i podkupni urzędnicy. Pewien inspektor transportu więźniów, który musiał znać gruntownie stosunki, powiedział mi, że gdyby wszystkie pieniądze, które na te zrujnowane domy już były wyznaczone, zebrać razem, to można by za nie, mówiąc bez przesady, wznieść domy etapowe między Tomskiem i Irkuckiem z masywnego srebra. We wspomnianem tajnym sprawozdaniu generał-gubernatora przesłanem cesarzowi, czytamy także: „Na reperację tych budowli użyto już znacznych sum; świeżo wyznaczono 25,000 rubli na budowę domów etapowych w kraju Zabajkalskim. Wątpię jednak, czy w istniejących stosunkach będzie osiągnięty rezultat jaki. Należy się obawiać, że nowe budowle w kraju Zabajkalskim takie same losy spotkają, jak także w Jenisejsku i Irkucku“.

Czego „obawiał się“ generał Anuczyn, to się stało. Tak inspektor transportu więźniów we Wschodniej Syberii, jak i wyżsi urzędnicy wydziału wię-

ziennego musieli przyznać, że nowe domy etapowe całkiem są „niewystarczające“.

Więźniowie naszego transportu noc z wtorku na środę, na etapie Chaldegewa, spędzili w ten sam sposób, jak poprzednią na pół-etapie Semiłużnaja. Połowa ich liczby spała na podłodze, między tapczanami, na korytarzach i oddychała tam powietrzem, zupełnie zatrutem kwasem węglowym i zaduchem, szerzącym się z niezakrytych „paraszk“.

We środę przypadał dzień odpoczynku. Więźniowie przez dzień cały stali na podwórzu bez zajęcia, lub czytali w celach „Najnowsze wiadomości“. Ściany i tapczany cel pokryte są licznymi napisami, które zesłańcy jednego transportu pozostawiają dla następnych. Są tu doniesienia, pozdrowienia dla przyjaciół i znajomych, wskazówki i rady cyfrowane dla brodjag, co do uplanowanej ucieczki, nazwiska zmarłych, zbiegłych lub znów ujętych, nowiny z kopalni i różnych domów etapowych. Ściany cel służą za pewnego rodzaju gazetę dla skazańców, ich treść posiada nie małą wagę dla wszystkich „podróżujących na koszt państwa“. Doświadczony skazaniec ogląda nawet przedewszystkiem po swem przybyciu do domu etapowego ściany i często bywa dla niego przypadek łaskawy i dostarcza mu wiadomości, wielkiej dla niego wagi, które przynoszą mu radę lub ostrzeżenie.

Dyrektor wydziału deportacyjnego i więziennego dowiedział się wreszcie o ważności tych napisów i wydał oficerom etapowym rozkaz ich zniszczenia. Wątpię, aby ten środek osiągnął oczekiwany przez zwierzchnika rezultat. Jakkolwiek

zręczni są urzędnicy więzienni, więźniowie są od nich chytrzejsi i umieją ich zawsze wyprowadzić w pole. Skazaniec znajdzie takie miejsca do nakreślenia swych wiadomości, w których urzędnik nigdy ich spodziewać się nie będzie, a gdzie je odszuka łatwo doświadczony brodjaga.

W czwartek, kapitan Gudim, powrócił ze swymi żołnierzami do Tomsku, gdzie przyjął na siebie obowiązek eskortowania innego transportu. Chętnie byłbym towarzyszył pochodowi jeszcze przez tydzień, aby gruntowniej poznać życie etapowe, ale miałem do czynienia w Tomsku jeszcze bardzo dużo, wróciłem więc tam, nim nastąpiła zmiana eskorty.

Życie zesłańców w pochodzie trwa całe miesiące wśród opisanej jednostajności. Podczas burzy lub słonecznej pogody, wśród błota i pyłu maszerują oni wolno ku Wschodowi, przebywają rzeki, przechodzą góry, często pod deszczem ulewnym, brną przez błota i trzęsawiska, nocują w zatrutej atmosferze i zbliżają się z dniem każdym coraz więcej ku, budzącym w nich lęk, kopalniom zabajkalskim.

9. Wielka droga syberyjska wojskowa.

Nasze stosunki z jednej strony z urzędnikami państwowymi, z drugiej z zesłańcami politycznymi, ściągały na nas czasem niejake kłopoty.

Na krótko przed naszym odjazdem z Tomską, siedzieli właśnie w naszym pokoju w hotelu „Europa”, świeżo wspomniany Wołchowskij i towarzysz jego Czudnowskij, gdy służący zameldował nam przybycie jego ekscelencyi, rzeczywistego radcy stanu, czasowego zastępcy gubernatora, Pietuchowa.

Zmieszany nie wiedziałem co począć. Nie wiadomem mi było, jakie stosunki istnieją między tym panem i zesłańcami politycznymi. Odwiedzaliśmy go kilkakrotnie, nie wspominając wszakże o naszej znajomości z „politycznymi”, gdyż wogóle w stosunkach z rosyjskimi urzędnikami okazywaliśmy zupełną obojętność względem tego rodzaju skazańców, aby uniknąć jakiegokolwiek podejrzenia, lub ciężkiej poszlaki. I oto miał gubernator zastać sam przy naszym stole dwóch z najwybitniejszych ze-

słańców przy pisaniu! Zaledwie zdążyłem zwrócić się do nich z zapytaniem, czy uważają za właściwe, abym ich przedstawił gubernatorowi, gdy tenże już wchodził w pełnym uniformie.

W pierwszej chwili zdawał się on bardzo zdumiony tem, że zastał naszych gości, ale wnet, zrzucając wierzchnie okrycie, opanował się i nie już nie dało poznać w jego minie zdziwienia lub przykrego uczucia, gdy z wyciągniętą do powitania dłonią, zbliżył się ku nam. Nawet obu skazanym do robót przymusowych uścisnął dłonie uprzejmie i rozpoczął rozmowę w ten sposób, że i oni mogli w niej uczestniczyć. Po pięciu minutach gawędziliśmy wszyscy jak starzy znajomi. Szczególne towarzystwo!

Dziennikarz z Ameryki, artysta z tejże części świata, dwóch zesłańców politycznych, którzy świeżo skazani zostali na odosobnione więzienie, zakucie w kajdany i roboty przymusowe i wreszcie najwyższy urzędnik prowincjonalny tego rządu, który obu skazał, i wszyscy oni, pozostawiając na stronie różne swe przekonania, rozmawiali ze sobą swobodnie, bez przymusu.

Nie wiem, czy zastępca gubernatora zakomunikował ministrowi spraw wewnętrznych o naszych stosunkach z zesłańcami politycznymi, ale nie wydaje mi się to prawdopodobnem. Poznałem go jako człowieka, choć całkiem oddanego władzy zwierzchniej, ale posiadającego przytem dość rozsądku i wykształcenia, aby widzieć, że między zesłańcami politycznymi znajdują się ludzie, którzy charakte-

rem i wiedzą zanadto się wyróżniają, aby mogli nie zainteresować sobą obcych podróżników.

Podczas naszego pobytu w Tomsku znajdowało się tam około trzydziestu zesłańców politycznych, włączając w to sześć czy osiem kobiet. Niektórzy z nich byli zesłani w drodze administracyjnej i dopiero przed niedawnym czasem przybyli z Rosyi, inni znowu byli kolonistami karnymi, którzy wprzód zesłani byli do najodleglejszych miejscowości Syberyi i którzy później, gdy ich zdrowie zupełnie już było zrujnowane, otrzymali pozwolenie na pobyt w okolicy, położonej w warunkach przyjaźniejszych. Kilku znowu z nich było z liczby owych 193, którzy więzieni byli przez wiele lat w kazamatach twierdzy Petropawłowskiej i następnie zesłani zostali na stepy Syberyi Zachodniej.

Dziwiło mnie niemało, gdym słyszał, że zesłańcy administracyjni dopiero po długim pobycie na tundrach Jakucka przybyli tutaj.

— Czy to możliwe — rzekłem do jednego z nich — że zesłańcy administracyjni zmuszeni byli się udać do najsurowszej okolicy Syberyi Wschodniej? Sądziłem, że do prowincyi Jakuckiej posyłają tylko niebezpiecznych przestępców politycznych i zbuntowanych kolonistów karnych.

— Bywa tak, i inaczej także — odpowiedział mi.

— Zesłańcy administracyjni wysyłani są do Syberyi Zachodniej, ale zdarza się często, że ich wysyłają i do Jakucka. Ja sam byłem wprzód także zesłany do Syberyi Zachodniej, udać się jednak musiałem w 1881 roku do prowincyi Jakuckiej,

gdyż nie chciałem złożyć wiernopoddańczej przysięgi cesarzowi Aleksandrowi III.

— Czyż rząd wymaga, aby ci, którzy skazani są za zdradę, składali przysięgę wierności?

— Wymaga tego. I gdy ja tej przysięgi złożyć nie mogłem, nie chciałem, zostałem zesłany do „ulusu“ w nędznej wsi jakuckiej.

— Nie rozumiem tylko, jak rząd może stawiać takie wymaganie.

— Wymaga on jeszcze więcej. Miałem także przysiąc, że wszystko, co mi jest wiadomem o ruchu rewolucyjnym, zeznam, że zatem, wyrażając się jaśniej, zdradzę mych przyjaciół. Tego nigdy zrobić nie mogłem, nawet wtedy, gdyby mnie zesłanie przemieniło na wiernego poddanego cesarza.

W ciągu tej rozmowy dowiedziałem się o tem, o czem do tej pory nie słyszałem. że w 1881 roku, gdy cesarz Aleksander III objął panowanie, zażądano złożenia przysięgi wiernopoddańczej od wszystkich zesłanych w drodze administracyjnej. Całkiem niedorzeczne wymaganie, aby osoby, które za zdradę względem cesarza Aleksandra były ukarane, musiały przysięgać na wierność jego następcy. Jednak minister spraw wewnętrznych sądził, że tak się stać powinno, albo przynajmniej, że odmowa powinna służyć za podstawę do obostrzenia kary. Jeśli zesłany przestępca odmawia uznania, że postąpiono z nim niesprawiedliwie, to może to nie przedstawiać zasady do skrócenia mu kary, ale także nie ma żadnej zasady do obostrzenia mu tej kary. Jeśli ci ludzie nie byli zdrajcami stanu, to nie powinni byli być zesłani, jeśli zaś za takich byli

uważani, to w najwyższym stopniu było niemoralnem i niesprawiedliwem zmuszać ich wybierać między krzywoprzysięctwem i pobytem w jakiej nędznej norze jakuckiej. I jak wielu z tych, którzy o żadne nowe przestępstwo nie mogli być oskarżeni, zesłanych zostało do tych lodowatych okolic, jedynie dlatego, że nie chcieli złożyć przysięgi, której pogodzić nie mogli ze swoim sumieniem.

Jednym z tych nieszczęśliwych był pełen talentu nowelista Włodzimierz Korolenko. Trzy razy był on już zesłany—raz z powodu omyłki władz—i musiał pozwolić pogrzebać się żywcem, to jest wysłać do prowincyi Jakuckiej, gdyż nie chciał zdradzić swych przyjaciół, gdyż nie chciał całować ręki, która go tak ciężko dotknęła, gdyż nie mógł przysięgać, że będzie wiernym poddanym.

Aby nikt nie sądził, że przesadzam, gdy pobyt w ulusie jakuckim porównyвам do pogrzebienia w grobie za życia, przedstawię to w słowach, które pewien, wysoko wykształcony, liberalny Rosyanin, do opisania tego życia użył.

Było to na początku 1881 r., gdy w Rosyi działał minister liberalny, Loris Melikow i udzielił nieco swobody prasie; w owym czasie znany pisarz, S. A. Prikłonskij, który czas jakiś służył przy gubernatorze ołonieckim, ogłosił w liberalnej, wkrótce potem zawieszanej, gazecie „Ziemstwo” obszerną i sumiennie opracowaną rozprawę o „Zesłaniu w drodze administracyjnej.” W tej pracy, która leży przedemną, przedstawia autor życie zesłańców w ulusie jakuckim, jak następuje:

„Istnieje w prowincyi Jakuckiej pewien ro-

dziej zesłania, surowszego i więcej barbarzyńskiego, niż społeczeństwo rosyjskie może przypuszczać; jest to zesłanie do „ulusu.“

Zesłanych w drodze administracyjnej osiedlają osobno każdego w rozszanych rzadko, daleko jedna od drugiej, leżących chatach jakuckich. W jednym z świeżych numerów „Gazety Rosyjskiej“ (Nr 23) przytoczono w korespondencji z Jakucka następujący wyciąg z listu pewnego zesłańca, gdzie przedstawiono okropne położenie, w którym się znajduje w tę dziką pustkę zapędzony człowiek.

Kozacy, którzy mnie z miasta Jakucka dostawili tutaj, powrócili wkrótce i zostałem sam pomiędzy Jakutami, którzy nie rozumieli ani słowa po rosyjsku. Obawiając się kary w razie mej ucieczki, śledzili oni podejrzliwie każdy krok mój. Gdy opuszczałem samotnie leżącą, duszną chatę, aby pójść na przechadzkę, szedł za mną Jakut, gdym brał do ręki siekiere, by sobie uciąć laskę, Jakut mimocznie nakazywał mi, abym wrócił do chaty; a gdy siedziałem tam, musiałem patrzeć na nagich Jakutów, siedzących przy ognisku i poszukujących robactwa w swej odzieży—widok cudowny! Jakuci żyją w swych chatach wspólnie z bydłem. Nieczystości bydłące lub pochodzące od dzieci, brud i nieład, zgniła słoma i lachmany mnóstwo robactwa, niemożność użycia słowa rosyjskiego—wszystko to razem może człowieka doprowadzić do pomieszania zmysłów.

Pokarm Jakutów jest niemożliwy do przelknięcia; przyrządzony pierwotnie, bez soli i często z zepsutych materyałów żywności, tak, że nieprzyzwy-

czajony do niego, musi, co spożyje, zrzucić. A jednak muszę z nimi spożywać to jedzenie; nie posiadam nawet własnej odzieży. Niema nigdzie możności się wykąpać, jestem w ciągu ośmiu miesięcy zimowych tak brudny, jak Jakut. Najbliższe miasto leży w odległości 200 wiorst od miejsca mego pobytu, jest więc dla mnie zupełnie niedostępne. Mieszkam po kolei u różnych rodzin, co sześć tygodni gdzieindziej. Nie widuję na oczy ani książek, ani gazet; wszystko, co się dzieje na świecie, pozostaje dla mnie niewiadomem...

Większej surowości nie można zastosować — dodał p. Prikłonskij, który ten list ogłosił.— Okrutniej było tylko jeszcze, być może, przywiązać kogo do ogona końskiego i wypędzić konia na stepy, albo związać go z trupem i pozostawić swemu losowi. Jest prawie nie do wiary, że ludzie bez wyroku sądowego, na mocy jedynie tylko rozporządzenia administracyi, mogą być wystawiani na takie męki, poddawani takim karom, których Europa już nie zna nawet odnośnie do najcięższego przestępcy, któremu dowiedziono jego winy. Mimo to wszystko, twierdzi korespondent *Gazety Rosyjskiej*, że w prowincyi Jakuckiej żadnego z zesłańców nie traktują lepiej, że dziesięciu, przybyłych przed niedawnym czasem, rozmieszczono po chatach jakuckich i wkrótce mają przybyć jeszcze inni!...

Smiały i zdolny autor tej pracy, p. Prikłonskij, dopiero co zmarł; mogę więc, nie przynosząc mu szkody wyznać, że to on sam przytaczał te dane i dostarczył mi także wielu dokumentów odnoszących się do zesłania. Należy zaznaczyć, że *Ziem-*

stwo, czasopismo, gdzie się owa praca ukazała, nie należało wcale do kierunku rewolucyjnego, tylko było nieoficyalnym organem rosyjskich instytucji samorządowych. Wspominam o tem dlatego, aby wykazać, że rząd niema żadnej dostatecznej podstawy do usprawiedliwienia siebie za utrzymywanie takich okropnych stosunków, skoro zwracają mu na nie uwagę osoby, których charakter i patriotyzm zasługują na to, żeby ich słowa poważnie były traktowane.

Zresztą—przedstawione w tej pracy stosunki, znajdują potwierdzenie w luźnych listach osób zesłanych do ulusów, które mam w posiadaniu, w zeznaniach wielu zesłańców politycznych, którzy przeżyli to samo i wreszcie we własnych mych spostrzeżeniach. I ja także spałem w pokrytej ziemią chacie jakuckiej, w pobliżu bydła domowego; i ja także doświadczyłem w części tych udręczeń, na które są narażeni mieszkańcy tych okropnych miejscowości i wiem, jak strasznie być musi dla cywilizowanego człowieka, zwłaszcza dla kobiety, w tem otoczeniu miesiać, lata przebywać. Ale dla ścisłości należy zaznaczyć, że pozwalają niektórym zesłanym administracyjnie otrzymywać od ich bliskich pieniądze i kupować sobie chaty, albo je budować.

Tak nowelista Korolenko mieszkał w swym własnym domku, a inni zesłani do ulusów opowiadali nam, że przy pomocy swych przyjaciół budowali tam baraki, kupowali je lub wynajmowali i w ten sposób unikali brudu i nieładu mieszkań jakuckich. Niektórzy posiadali nawet książki i mogli raz, lub dwa razy do roku wysyłać i otrzymy-

wać listy pod kontrolą policyi. Ale mimo tej pobłażliwości musieli oni zawsze przenosić dość cierpień i umartwień. Pan Linow, człowiek wykształcony, który mieszkał także lat kilka w Stanach Zjednoczonych, skarżył się przedemną, że w ciągu czasu, gdy żyć musiał wśród Jakutów, często całemi miesiącami nie miewał chleba i żywił się tylko rybami i mięsem. Zdrowie jego zrujnowało takie życie zupełnie i umarł w maju 1886 r. w jednym z domów etapowych wschodnio-syberyjskich, wkrótce potem jak go poznałem. Nawet w przyjaźniejszych warunkach jest życie zesłanych do ulusów zawsze nieznośne. czego dowodem, że wielu z nich dobrowolnie śmierć nad nie przenosi. Z zesłanych w 1882 r. do prowincyi jakuckiej 79 osób, sześć do 1885 r. popełniło samobójstwo; jak wielu potem poszło za ich przykładem, nie wiem.

Często mnie dziwiło, z jaką rezygnacją mówili zesłańcy polityczni w Tomsku o gwałtach nieraz oburzających i strasznych swych cierpieniach. Mężczyźni i kobiety, którzy byli na zesłaniu w prowincyi Jakuckiej, którzy w tej pustyni lodowatej przecierpieli wszystko, co tylko przecierpieć jest możliwem, nie zdawali sobie dobrze sprawy, że to co się z nimi działo, było całkiem niewyczerpaną rzeczą. Zdawało się, że mąż, którego małżonka doprowadzona była na zesłaniu do samobójstwa; zaciska konwulsyjnie dłonie i rumieniec gniewu występuje mu na twarz, gdy wspomina o tym nieszczęśliwym wypadku; albo, że biedna kobieta, w której objęciach zmarzło w drodze jej dziecko, opowiada ze łkaniem przerywanem o swoim nieszczęściu; zazwy-

czaj jednak mówili oni z zimną krwią o wielu, wielu mękach i gwałtach, które wycierpieli, jak gdyby to nie było niczem innym, jak nieszczęściem, które się nieraz w życiu przytrafia. Pan X. pokazywał mi jednego dnia zbiór fotografii swych przyjaciół rewolucyjnych. Gdy mnie przy tem uderzała twarz wyróżniająca się swą pięknnością lub charakterystycznym wyrazem, dawał mi bliższe informacye co do takiej osoby.

— Ta przedstawia pannę A.— objaśniał mnie spokojnie na kilka zapytań.—Była ona przedtem nauczycielką wiejską i zmarła przed trzema laty w więzieniu w Kijowie na suchoty.—Ten pan z długą brodą, nazywa się B. Był przedtem sędzią pokoju w A. i został powieszony w Petersburgu. Te, delikatnej budowy dziewczę, nazywało się C.. Była, ona jedną z tak zwanych propagandzistek i dostała w więzieniu śledczem pomieszania zmysłów. Ta piękna, młoda dama z krzyżem na rękawie jest panią D... Była ona siostrą stowarz. „Krzyża czerwonego” i pielęgnowała podczas ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej rannych w lazaretach polowych. Została skazana na dwadzieścia lat robót przymusowych i obecnie znajduje się w kopalniach złota nad Karą. Dama obok, na tej samej stronicy jest to panna C... przedtem studentka medycyny w Petersburgu. Po dwuletniem odosobnionem więzieniu w twierdzy poderżnęła sobie gardło szkłem.

W ten sposób objaśniał mi pan H. w suchych słowach całą swoją kolekcję fotografii. Nie okazywał żadnego wzruszenia, ktoby go słyszał mówiącym, musiałby pomyśleć, że to należało do rzeczy

codziennych, że przyjaciele są wieszani, posyłani do kopalń złota, że wpadają w obłąkanie albo z rozpaczy odbierają sobie życie kawałkiem szkła. Nie należy jednak sądzić, że ten spokój jego był dowodem braku uczuć lub sympatyj dla nieszczęśliwych; był on poprostu z biegiem czasu już stępiały wobec grozy tych okropnych tragedji. Przyzwyczajamy się w końcu do wszystkiego. Rewolucyoniści rosyjscy przeżyli tyle gwałtów, tyle nędzy, że mogą oni bez wzruszenia mówić o rzeczach, których wspomnienie rumieniec gniewu wywoływało mi na twarz i kazało bić sercu mojemu, przejętemu litością i oburzeniem.

— Dwukrotnie w życiu mojem—mówił mi raz znany liberal rosyjski—rozumiałem dokładnie, co to znaczy być wolnym obywatelem. Po raz pierwszy, gdy wracał w siódmym dziesiątku lat ze Stanów Zjednoczonych do Rosji odczułem, tu na granicy, różnicę w traktowaniu, jakie stosowali żandarmi rosyjscy względem mnie i kilku Anglików. I po raz drugi dopiero teraz niedawno, gdy zauważyłem wrażenie, jakie wywarło na panu opowiadanie p. B. Pańska mina dawała poznać, że to, co pan słyszał, wydawało się mu przejmującym zgrozą, trudnem do uwierzenia. Na mnie rzecz ta nie zrobiła większego wrażenia, niż jakikolwiek zwykły wypadek uliczny. I gdy ujrzałem wyraz pańskiego oblicza i usiłowałem stanąć na pańskim punkcie widzenia, odczułem wtedy głęboko, co to jest być wolnym obywatelem, wolnego państwa.

Zesłańcy polityczni w Tomsku znajdują się w lepszym położeniu, niż ich towarzysze w jakiej-

kolwiek innej, zwiedzonej przez nas, okolicy Syberyi. Książę Krapotkin skarżył się wprawdzie na zły klimat, mnie jednak wydał się on nie gorszym od klimatu północnej części Nowej Anglii. Część ludności wykształcona, była usposobiona liberalnie, ruchliwa, miasto posiadało bibliotekę, teatr, dobrą szkołę, posiadało księgarnię i dziennik liberalny, ostatni wprawdzie tylko od czasu do czasu wychodził, o ile nie był zawieszony. Zarząd prowincjonalny był mniej surowy, niż w Tobolsku; zesłańcy polityczni mogli, bez przeszkody, komunikować się ze sobą, a większość mogła nawet bez kontroli policyjnej wysyłać i odbierać listy. Ich sposób życia wobec tego nie wydawał się tak nieznośnym. Mówią jednak, że Tomsk w przyszłości ma przestać służyć za miejsce pobytu dla zesłańców, gdyż rząd chce wznieiony tam uniwersytet nareszcie otworzyć. A ponieważ dąży, powodowany ostrożnością ku temu, aby młodzież studującą uchronić od zatrucia „niebezpiecznymi“ ideami, więc należy przypuszczać, że nie ścierpi w otoczeniu wyższej szkoły osobistości „nieprawomyślnych“. Rozumni młodzi ludzie, którzy mieliby sposobność poznać takich ludzi jak Chudnowskij lub Krapotkin i usłyszeć o przygodach ich życia, mogliby bardzo łatwo przyswoić sobie sposób myślenia, który nie dawałby się pogodzić z pojęciami rządu rosyjskiego.

Pozegnaliśmy się z zesłańcami politycznymi, z pułkownikiem Jagodkinem, który szczególnie dla nas był uprzejmy i z kilku znajomymi oficerami, zaopatrzyliśmy się w nowe świadectwa na przejazd i wsiedliśmy w piątek, 28 sierpnia, do naszego daw-

nego tarantasu, aby trójką dobrych koni pocztowych pojechać do Irkucka, głównego miasta Syberji Wschodniej, odległego o blisko 1,700 kilometrów od Tomsku. Gubernator Pietuchow obiecał nam list polecający do wszystkich podwładnych mu oficerów eskortowych, aby ci udzielili nam pozwolenia na zwiedzanie więzień etapowych; ale albo o swej obietnicy zapomniał, albo uważał za lepsze nie mieszać się do tego, gdy niespodzianie zastał zesłańców politycznych w naszym mieszkaniu; nie otrzymaliśmy tego listu polecającego i musieliśmy zaraz starać się o wspomniany dostęp do więzień.

Aż do Aczyńska, pierwszego miasta Syberji wschodniej nie natrafiliśmy na nic godnego uwagi. Jechaliśmy przez pagórkowatą okolicę, częściowo zalesioną, częściową zaś uprawną. Czasami droga wiodła całemi godzinami przez gęste zagajniki brzoź, topoli i drzew iglastych, zasłaniające widok naokoło; widzieliśmy tylko nad sobą niebo a przed nami błotnistą drogę. To znowu otwierał się przed nami, na zmianę, szeroki obszar łąk, długie doliny, okolonie pagórkami, pokrytymi przez pola uprawne. Pogoda była jesienna, chłodna, ale klujące owady ciągle nam jeszcze dokuczały. Między Itatskaja i Bogotolskaja, w odległości około 80 kilometrów od Aczyńska, rozpostarła się przed nami najponętniejsza i najlepiej uprawna okolica ze wszystkich, jakie przebyliśmy w ciągu naszej podróży. Urodzajny pagórkowaty kraj, w jesiennych już barwach, srebrzyste brzozy i topole na przekwitłych łąkach, pola pokryte zbożem dojrzałem z kosiarzami i kosiarzami w jaskrawej odzieży — wszystko to przedsta-

wiało wspaniały, różnobarwny obraz, godny pędzla artysty.

Wsie w tej okolicy nie wywierają najlepszego wrażenia. Składają się one zazwyczaj z dwóch rzędów domów drewnianych, stojących wzdłuż drogi. Nigdzie nie widać kojącej wzrok zieleni prócz chyba wieńca, wiszącego przed szynkiem. Te szynkownie w wielkiej ilości i różnaitości stanowią dla państwa źródło obfitych dochodów, włościom jednak przyprawiają o ruinę; one to są główną przyczyną, że wsie syberyjskie są tak opuszczone i ubogie. W Syberji Zachodniej przypada trzydzieści szynkowni na jedną szkołę. W Syberji wschodniej nawet trzydzieści pięć. W kraju, gdzie sposobność do uczenia znajduje się w tak niekorzystnym stosunku do sposobności upicia się, nie może panować większy porządek i czystość, ani też dobrobyt.

Cmentarze wsi syberyjskich interesowały mnie często więcej, niż same wsie. Na cmentarzu widywałem często połowę wszystkich grobów z czarnymi krzyżami i ogrodzonych pstro pomalowanemi palami. Niektóre krzyże nosiły napis I. H. S., inne znowu wizerunek I krzyżowanego, pomalowany na biało; nogi były szczególnie chude i sięgały aż do dołu. Oblicze miało w sobie coś duchowego, chociaż skłonność Rosyan do pstrokacizny kolorów widniała i tutaj. Nie mogę sobie przypomnieć, bym coś podobnego widział gdzie na jakim cmentarzu na świecie.

Wszędzie rozpoczęto żniwa, natrafialiśmy na wsie całkiem bezлюдne, gdyż wszystko, co żyło, zajęte było pracą w polu. W jednej wsi widzieliśmy

na pustej ulicy zaledwie jedną jasną główkę pięcioletniego dziecka, odzianego tylko w brudną koszulkę i z dzwonkiem u szyi, nużającego się w błocie i brodzącego przez kałuże.

W pobliżu innej wsi widzieliśmy pasącego się konia na uwięzi z kajdanków ręcznych i widok ten przypominał nam, że przybyliśmy blisko kolonii karnej. Słyszałem raz dziwną opowieść, że rząd raz kazał wychłostać krnąbrny dzwon kościelny — był to słynny dzwon w Ugliczu, który obecnie znajduje się w Tobolsku — i potem został zesłany na Syberyę, gdyż ośmielił się dzwonić, gdy go zdjęto, ale żeby rząd rosyjski miał już „nieprawomyślnie” konie wysyłać na Syberyę, wydawało mi się całkiem nieprawdopodobnem. Policmajster dał mi co do tego wyjaśnienie. Zgodnie z niem szkapa ta nie okazała się wcale „szkodliwą dla porządku społecznego”, ale był to poprostu koń nieposłuszny, którego zmuszał właściciel w taki sposób do pozostania niedaleko od domu.

Między wsiami Krasnorieczynskaja i Bielőjarskaja w odległości około 32 kilometrów na zachód od Aczyńska, przebyliśmy granicę prowincyi Tomskiej i Jenisejskiej, którą oznaczono dwoma ceglannymi słupami; od strony wschodniej i od zachodniej znajdowały się herby odnośnych prowincyi. Od tego miejsca opłata za konie pocztowe podwajała się, choć ani szybkość jazdy, ani dogodność nie uległy zmianie. Wyższe ceny wszystkich środków żywności były przyczyną tego powiększenia opłat. Co do zesłańców naturalnie nie brano tego na uwagę; czy to w zachodniej, czy wschodniej Syberyi, czy

chleb kosztuje dwie lub pięć kopiejek, zesłany otrzymuje zawsze swoje dziesięć kopiejek na żywienie. W Syberyi zachodniej może on tem głód zaspokoić, na wschodzie musi on — co już wyżej wzmiankowałem — przymierać z głodu.

We wtorek, 1-szego września, przybyliśmy do Aczyńska i odtąd rozpoczęła się najuciążliwsza i najwięcej męcząca część naszej podróży. Miejscowość stała się nagle więcej górzystą, dzikszą. Droga prowadziła w ciągu setek kilometrów przez pokryte lasem góry, poprzecinane wązkami, błotnistymi dolinami. Deszcz padał bez przerwy i nasze pięć koni z trudnością wciągały ciężki tarantas na spadziste wzgórza i wyciągały z lepkiego gliniastego błota dolin. Nawet, gdzie grunt na drodze był nieco ściślejszy, liczne, ciężkie wozy, które nas poprzedziły, pozostawiły po sobie głębokie wyboje. Wprawdzie próbowano przez zatopienie pni drzewnych w błocie, uczynić drogę możliwą do przebycia, ale przez to stała się ona jeszcze więcej wyboistą i powodowała jeszcze więcej wstrząśnień. W ciągu pierwszej nocy rzucało mną bezustannie o pokrycie i boki tarantasu. Gdyśmy rano po dwudziestogodzinnej jeździe, w ciągu której przejechaliśmy osiemdziesiąt kilometrów, przybyli do wsi Ibrulskaja, czulem się jak zbity. Mój towarzysz wyglądał jeszcze gorzej, tak iż zaniepokoiłem się o niego. Nie chciał jednak zatrzymywać się w natłoczonym domu pocztowym, więc, pokrzepiwszy się herbatą, pojechaliśmy dalej do Krasnojarska.

W ciągu dni czterech jedynem naszym żywieniem była herbata i chleb, mięsa dostaliśmy.

w ciągu tego czasu tylko w jednym domu pocztowym. Nędzniejszej drogi, niż między Aczyńskiem i Krasnojarskiem, nie zdarzyło mi się przebywać, sprawiło mi też pewne zadosyćczynienie, gdyśmy usłyszeli w Ustanowskaja, że nowomianowany gubernator Syberyi wschodniej, generał Ignatiew, odbył na krótko przedtem tędy podróż i był tak oburzony stanem drogi, że kazał natychmiast zaaresztować przedsiębiorcę, który wziął na siebie utrzymywanie drogi. To było przynajmniej odpowiednie zastosowanie samowolnej pełni władzy.

We środę wieczorem, 2 września, przybyliśmy do Krasnojarska, po przebyciu w ciągu dni pięciu bez znaczniejszej przerwy prawie sześciuset kilometrów. Obfity posiłek wieczorny i dobry odpoczynek w nocy w małym hotelu, położonym obok domu pocztowego, wzmocnił nas znacznie. Następnego dnia złożyliśmy wizytę panu Leonowi Piotrowiczowi Kuzniecowskiemu, bogatemu właścicielowi kopalni, do którego mieliśmy pismo polecające. Nie mogliśmy przypuszczać, że znajdziemy u niego taki przepych i wygody, ani tak przyjemne towarzystwo. Służący, który nam otworzył, wskazał nam najpiękniejszy i najgustowniejszy salon, jaki kiedy widzieliśmy w Rosyi. Mógł mieć dwadzieścia metrów długości, dwanaście szerokości i siedem wysokości. Posadzkę w części pokrywał dywan perski, w niszach wysokich, zawieszonych wspaniałemi portyerami okien stały palmy i inne rośliny doniczkowe, a wielkie stojące zwierciadło zdawało się obszar sali jeszcze rozszerzać. Na kominie marmurowym trzeszczało jasne ognisko z polan brzozowych; obrazy olejne

dobrych mistrzów zdobiły ściany; szarki błyszczące politurą, zastawione były drobiazgami, rzeźbionemi w kości słoniowej i rzadką porcelaną, rzeźbiona szafa biblioteczna pełna była ksiązek i nut, a prócz tego wspaniały fortepian i inne kosztowne meble zapełniały ten salon.

Zaledwie zdążyliśmy opanować zdziwienie, gdy wszedł młody, wysmukły człowiek, odziany elegancko i przedstawił się jako pan Innocenty Kuźniecowa, powitawszy nas w dobrym języku angielskim. Wkrótce poznaliśmy także i innych członków rodziny, składającej się z trzech braci i dwu siostr. Wszyscy byli nieżonaci i niezamężne i zamieszkiwali ten dom wspaniały. I damy także mówiły biegle po angielsku; podróżowali oni po Ameryce i zatrzymywali się w znaczniejszych miastach, czas jakiś. Pan Innocenty Kuźniecowa znał nawet Stany Zjednoczone gruntowniej, niż ja; dwa razy przejechał on ląd amerykański, polował w preryach na zachodzie na bawoły, zaznajomił się z generałem Skoridanem, Buffalo Bilem, kapitanem Jackiem i innymi znanymi ludźmi, zwiedził nawet oddaloną okolicę parku Jellowstowne i Staked-Plains.

Każdy może sobie przedstawić, jak nam musiało być przyjemnie, po miesiącach wielu przebywania w brudnych domach portowych, w oberżach, pełnych robactwa, dostać się nagle do podobnego domu, rozmawiać z wykształconymi mężczyznami i damami, przytem nie słyszeć żadnych dręczących opowiadań o więzieniach i zesłaniach.

Przez cały czas pobytu w Krasnojarsku, jadaliśmy codziennie wśród tej rodziny i korzystaliśmy

z jej nader przyjemnego towarzystwa. Przypominam sobie pana Iwana Sawenkowa, dyrektora tamtejszej szkoły normalnej, który przed niedawnym dopiero czasem powrócił z wyprawy archeologicznej, odbytej w okolicy górnego Jeniseja, i pokazywał nam interesujące rysunki i zdjęcia napisów, które znajdowały się na „pomalowanych skalach”, na brzegu tej rzeki w obfiości. Pan Innocenty Kuzniecowa interesował się również archeologią i posiadał także cenny zbiór starożytnych zabytków syberyjskich z epoki kamiennej i bronzowej.

W czwartek zwiedziliśmy położony w górze rzeki, odległy o blisko dziesięć kilometrów od miasta klasztor, który był miejscem ulubionych wycieczek mieszkańców. Droga, świadcząca o umiejętności budowania środków takich komunikacji u mniichów, wyciosana była w skalach, które stanowią brzeg rzeki. W innych miejscach prowadziła ona wysoko ponad rzeką, przez mosty, łączące rozpadliny skalne. W miejscach więcej wysuniętych przedstawiał się oku wspaniały widok na rzekę, która tutaj dosięgała szerokości półtora kilometra i wśród gór malowniczych płynęła ku północnemu Morzu Lodowatemu.

Nasi znajomi próbowali nakłonić nas do dłuższego pobytu w Krasnojarsku, ale czas biegł szybko i zbyt już był opóźniony, abyśmy mieli choć godzinę do stracenia. Było nam jednak wcale nie łatwo rzec się tych wszystkich pikników, wycieczek łódkami i innych rozrywek, które nam proponowano i wrócić znowu do udręczeń podróży; ale musieliśmy jeszcze przed nastąpieniem zimy, dosię-

gnąć kopalni zabajkalskich, a były one jeszcze odległe od nas o 2,000 kilometrów.

W sobotę, 5 września, zamówiliśmy konie pocztowe, zaopatrzyliśmy się w chleb, herbatę, drobną monetę, naładowaliśmy na stary, zabłocony tarantass, który wydawał się nam już lożem tortur, i puściliśmy się w dalszą drogę do Irkucka, przebywszy Jenisej na promie.

Powietrze było przyjemne, słońce świeciło jasno, ale opadające poczerwieniałe, liście przypominały, że rozpoczyna się jesień. Listowie topoli już czerwienilo się, a pożółkłe liście brzoź odbijały się wyraźnie na tle ciemnej zieleni jodeł. Na obszernych polach doliny Jeniseja i na skłonach wzgórz mnóstwo mężczyzn i kobiet zajętych było żniwem, kryjąc twarze maskami z włosia końskiego dla ochrony przed bąkami.

Bez przerwy jechaliśmy wciąż dalej i zatrzymaliśmy się dopiero w środę rano, na stacyi Kamy-szeckaja, oddalonej od Irkucka o 600 kilometrów, gdyż musieliśmy tam dać nasz pojazd do naprawy. Kowal wiejski miał swój warsztat w pobliżu domu pocztowego, gdzie właśnie, gdyśmy przybyli, zajęty był podkuwaniem konia przy pomocy swej córki. Środki ostrożności, jakie przytem przedsiębrał, każały się domyślać, że albo konie syberyjskie muszą być bardzo złośliwe, albo kowale syberyjscy nader niezręczni. Biedne zwierze wisiało na dwóch szerokich pasach w powietrzu, trzy jego nogi przywiązane były do słupków, a czwartą dopiero obrabiał dzielny kowal. Poinformowano nas, że ten sposób podkuwania jest we zwyczaju na Syberji.

Gdy naprawiano nasz tarantas, dogoniła nas poczta z Moskwy. Rosyjskie przesyłki pocztowe dostarczone są w torbach skórzanych na telegach na Syberyę; konwój stanowi tylko uzbrojony pocztylion. O ile wiem, nie ma oznaczonych granic dla wagi przesyłek—ja sam przesłałem skrzynię, mającą 40 funtów wagi, za pomocą poczty — zdarza się więc czasem, że poczta składa się z tuzina teleg.

Irkuck otrzymuje codziennie pocztę z Moskwy i wysyła do niej trzy razy tygodniowo; ponieważ poczta ma pierwszeństwo przed podróżnymi prywatnymi, więc musieliśmy, niejednokrotnie godzinami całymi oczekiwać na stacyach, gdyż wszystkie konie na stacyi musiały być oddane na użytek poczty. To samo spotkało nas i tutaj. Dopiero o 2-giej popołudniu mogliśmy wyruszyć w dalszą drogę, choć pojazd nasz prędko doprowadzony został do porządku.

Do Irkucka jechaliśmy bez dłuższego odpoczynku dniem i nocą, zatrzymywaliśmy się tylko tu i owdzie, aby zwiedzić więzienie etapowe, lub przyjrzeć się transportowi więźniów, który przeciągał wśród ulewnego deszczu, przy szczęku kajdan, wolno ku dalekim kopalniom zabajkalskim. Wiele z tych pochodów zużywało dwa miesiące czasu na przebycie drogi, którą my obecnie przejeżdżaliśmy w ciągu dni ośmiu i nie mogły one osiągnąć miejsca swego przeznaczenia, przed nadejściem surowej pery zimowej. Jedno spojrzenie tylko na te stro-skane twarze wystarczało, by sobie wyobrazić, jakich cierpień i udręczeń musieli już doznać ci biedacy.

Życie zesłanych w pochodzie obejmuje także wszelkie możliwe poniżenia i cierpienia. Podczas naszej podróży z Tomsku do Irkucka często miałem sposobność widzieć ich przy świetle słonecznem lub podczas deszczu w pochodzie—zwiedzać nędzne baraki, do których zapędzano ich na noc jak bydło, oglądać szpitale, gdzie często tygodniami całemi leżą bez dostatecznej pomocy lekarskiej i rozmawiać z łagodniejszymi urzędnikami, którzy znają oddawna cały system deportacyjny, i przyszedłem wtedy do przekonania, że nędza, którą ten sposób zesłania na Syberyę pociąga za sobą, nie znajduje dla siebie porównania w całym świecie cywilizowanym. Dużo tu są winne niedbalstwo, nieludzkość i przekupstwo urzędników, ale najglówniej jest ona następstwem okrutnego systemu, który powinien być całkiem zniesiony i na miejsce tegoż zaprowadzone ograniczone lub dożywotnie więzienie w Rosyi europejskiej.

Nie potrzeba wiele rozwagi, aby przyznać, że 6,000 — 8,000 mężczyzn, kobiet i dzieci, nie może nawet w najprzyjaźniejszych warunkach w takim kraju, jak Syberya wschodnia przebyć 3,000 kilometrów piechotą bez narażenia się na nędzę najstraszniejszą. Już wysiłek fizyczny wystarcza, aby podkopać zdrowie, i gdy do tego jeszcze przybywa niedostatek wszelkiego rodzaju, nie dziwnego wtedy, że tak znaczna liczba z nich umiera, dziwniejsze, że tak wielu pozostaje jeszcze przy życiu.

Zesłańcy, którzy w lipcu i sierpniu wychodzą z Tomsku, zaskoczeni są przez deszcze jesienne i mrozy, zanim dochodzą do Irkucka. Nie dostają

oni jeszcze odzieży zimowej, większość nie ma żadnej innej ochrony przeciw niepogodzie, nad koszulę zgrzebną, płócienne spodnie i szary, lekki kaftan. Przedstawmy sobie podobny: transport podczas wiatru zimnego, północno-wschodniego lub deszczu na drodze od Aczyńska do Krasnojarska!— Wszyscy są przemoczeni do skóry, a kobiety, dzieci i chorzy tulą się, marznąc na przemokłej słomie małych, trzęsących się teleg, wystawieni bez ochrony na wściekłość burzy. W niektórych miejscach przebywają przez głębokie do kolan błota i wózki potrzebują często godziny dla przejechania trzech kilometrów. Wielu obciążonych kajdanami piechurów oblewa się od wysiłku potem, który paruje w chłodnem powietrzu; wielu gubi obuwie lub zzuwa je i brodzi bosą przez lodowate błota. W lecie i jesieni otrzymują zesłańcy, zapewne ze względów oszczędności, trzewiki naksztalt pantofli. Są one masami wyrabiane z najtańszego materiału i mają, zgodnie z przepisami, wystarczać na sześć tygodni, zazwyczaj jednak w ciągu dni tyłuż stają się nie do użycia.

Pewien wysoko położony urzędnik zarządu deportacyjnego opowiadał mi, że nie rzadko się zdarza, iż zesłańcy z Tomska albo z Krasnojarska wychodzą w nowem obuwie i na drugi już etap przybywają bosą. Ale nawet jeśli obuwie trzyma się dłużej, to znowu nie jest dopasowane, nie może być przymocowane, gdyż brak przy niem rzemieni i tak jest niskie, że nie chroni od dostania się do wnętrza brudnej wody i błota, i grzęźnie w bagnie. To utrudnia im ten, i bez tego uciążliwy, pochód,

dlatego wolą oni ściągnąć z nóg obuwie i związane powiesić sobie na szyi lub poprostu odrzucić je i dzień cały boso maszerować po błocie, którego temperatura niedaleką jest od punktu marznięcia.

Gdy ci przemokli, znużeni i głodni ludzie zbliżają się do wsi, to „starosta“ czyli „najstarszy“, jakby przewódca więźniów, prosi oficera eskorty o pozwolenie, aby przy przechodzeniu przez wieś mogli zaśpiewać „pieśń błagalną“. Rzadko ich spotyka odmowa. Kilku z pośród siebie wyznaczają więźniowie do odbierania spodziewanych datków miłosiernych.

Potem, wchodząc do wsi, zwalniamy swe zmęczone kroki, jakby im już brakło sił do poruszania nogami, zdejmują z głów czapki i rozpoczynają swe, rozdzierające serce, wołanie o miłosierdzie ludzkie. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie śpiew ten wywarł na mnie, gdy go po raz pierwszy usłyszałem.

Było to w ponury dzień jesienny, gdyśmy siedzieli w brudnym domu pocztowym i czekali na konie. Nagle dobiegł nas zoddali jednostajny, drżący ton, który wydawał mi się pochodzącym od złałych głosów ludzkich.

Nie była to pieśń świecka, nie był to śpiew kościelny, ani skarga pogrzebowa, ale było w tem coś z tego wszystkiego.

Wyszliśmy przed dom i ujrzelśmy gromadę zakutych skazańców, otoczoną przez żołnierzy, zbliżających się z obnażonemi głowami, śpiewali oni przytem „pieśń błagalną zesłańców“. Nie zadawali

sobie trudu łączenia się głosami lub wymawiania jednoczesnego słów, nie czynili żadnych przestanków, ani nie starali się zachować jakiegoś rytmu. Robiło to wrażenie, jak gdyby jeden po drugim tę samą smutną melodyę powoli wyśpiewywał, co podobne było do fugi.

Śpiew zawierał, mniej więcej, następujące słowa:

Zlitujcie się nad nami, ojezulkowie!
 Pamiętajcie o znużonych wędrowcach!
 Pamiętajcie o biednych więźniach!
 Nakarmcie nas i pomóżcie nam, ojezulkowie!
 Miejcie dla nas współczucie, ojezulkowie!
 Zlitujcie się nad nami, mateczki!
 Na Chrystusa, miejcie litość
 Nad uwięzionymi!
 Po za murami i kratami.
 Za zamkami żelaznymi
 Musimy marnieć.
 Rozłączeni z ojcem i matką,
 Rozłączeni z bratem i przyjacielem,
 Jesteśmy więźniami.
 Zlitujcie się nad nami, ojezulkowie!

Kto nie słyszał tych słów, przez setki głosów na wół śpiewanych na wół wolno mówionych, z towarzyszeniem szczęku kajdan, nie potrafił sobie przedstawić wrażenia, jakie ta niekunsztowna „pieśń błagalna“ może wywierać. Cała niedola, cała nędza, cały niedostatek, cała rozpacz, jakich doświadczają tysiące po więzieniach i kopalniach, dźwięczą w tych tonach.

Gdy więźniowie przeciągali wolnym krokiem przez błotnistą ulicę, wyszły z domów kobiety i dzie-

ei i kładły chleb, mięso, jaja i inne środki żywności do worków, czterech, ogolonych przez pół głowy, skazańców, których wydelegowała cała gromada.

Zamilkł powoli szczeł kajdan i śpiew. Weszliśmy napowrót do domu. Ale na sercu było mi ciężiej, niż przedtem, i zdawało mi się, że dzień stał się więcej ponury.

Na pierwszym odpoczynku transportu następuje podział ofiarowanych datków i pokrzepieni udają się więźniowie zwawiej w dalszą drogę. Znużeni i przemokli, dochodzą oni często późno wieczorem do więzienia etapowego, gdzie po spożyciu wieczornego posiłku i sprawdzeniu ich liczby, zostają zamknięci. Większość z nich drży z zimna i wilgoci, ale nie mają ani suchej odzieży do zmiany, ani poduszek, lub kołder, aby się nimi przykryć; muszą się kłaść na twardych tapczanach, albo na gołej ziemi, przytuliwszy się jedni do drugich, aby się ogrzać wzajemnie. Niektórzy mogą mieć jeszcze, być może, jakie inne odzienie, znajduje się ono jednak w ich worku, wystawionym na wielogodzinny deszcz, więc również nie pozostało suchem.

Przynajmniej w opony od deszczu powinienby rząd zaopatrzyć wozy, gdyby się choć cośkolwiek troszczył o dobro więźniów. Mogłoby to koszty transportu nieznacznie tylko podnieść, nie o wiele więcej, niż wynoszą wydatki na grzebanie biedaków, którzy wskutek przemoczenia odzieży chorują i umierają.

A jednak nie postarano się o to!

Dlaczego? — Ci urzędnicy, którzy na to się pa-

trzą, nie mają władzy, by wprowadzić ulepszenie, a drudzy, którzy tę władzę posiadają, nie chcą ulepszeń zaprowadzać. Dlaczego? To pytanie cisnęło mi się często w Syberyi na usta i zawsze otrzymywałem odpowiedź jednaką.

— Już nieraz to proponowałem — powiedział jednego dnia do mnie pewien wysoko położony urzędnik zarządu deportacyjnego — aby skazańców w lecie przewozić na wozach do ich miejsc przeznaczenia. Obliczyłem dokładnie i dowiodłem, że przewóz zesłańców z Tomaska do Aczyńska w lecie nie tylko byłby więcej ludzkim, ale nawet kosztowałby mniej o 14 rubli na osobę.

— I dlaczego pański projekt nie był przyjęty?—zapytałem.

Wzruszenie ramionami było na to odpowiedzią.

Inny urzędnik opowiadał mi: — Kilkakrotnie już odrzuciłem dostarczone przez przedsiębiorców odzienia, gdyż źle były zrobione. Ale odrzucenie moje nie przyniosło pożytku. Tandetę nie do użycia dostarczono zamiast dobrego obuwia i skazańcy musieli iść boso. Nie mogłem nic innego tu zrobić, jak sprawę przedstawić moim przełożonym.

Podczas mego pobytu w mieście Irkucku, złożyłem raz wizytę gubernatorowi prowincyi, panu Petrowowi i zastałem tam inspektora transportu zesłańców do Syberyi Wschodniej, pułkownika Zagarina. Przyniósł on kilka par ostatnio dostawionych trzewików i prosił, aby gubernator porównał je z próbami, dostarczonymi przez dostawcę. Musi on bowiem towar ten stanowczo odrzucić i przeprowa-

dzie śledztwo. Oszustwo było widoczne; dostarczone trzewiki były tego rodzaju, że po kilku dniach musiały być całkiem zniszczone. W pięć miesięcy później, po moim powrocie z zabajkalskich kopalni złota, zapytałem pułkownika, jaki skutek wtedy miały jego przełożenia?

— Żadnego—dal mi odpowiedź.

— Te trzewiki więc w samej rzeczy dano ludziom do użytku?

— Tak!

Nie pytałem dalej.

Mógłbym jeszcze wiele przytoczyć przykładów, jak przez obojętność i przekupstwo urzędników położenie zesłańców staje się nieznośnem. Zresztą sprawozdania ze szpitali i statystyka śmiertelności czynią przytaczanie wszelkich innych dowodów zbytecznem.

Setki zesłańców wszelkiego wieku i plei ulegają podczas transportu chorobom i po tygodniu lub dwóch trzęsącej jazdy na telegach, dostają się wreszcie do szpitali etapowych, gdzie przychodzą do zdrowia—albo też nie.

Jest to nieludzkiem, aby chorych wlec na trzęsących wózkach, bez względu na stan powietrza, całemi tygodniami, po drodze, ale w danych warunkach oficer eskorty niema nic innego do zrobienia. Nie może on pozostawiać chorych w pustych domach etapowych bez wszelkiej pomocy, gdyż żołnierze muszą znajdować się przy transporcie. Często, gdy na wielkiej drodze syberyjskiej wojskowej czułem się całkiem skolatany utrudzeniami podróży, dodawała mi męstwa i siły myśl o tych licznych

ciężko chorych, którzy znoszą o wiele więcej udręczeń, jeszcze więcej cierpieć muszą niedostatku. Dla chorych, którzy w takich okolicznościach dostają się nakoniec do szpitala więziennego, pozostaje nie wiele więcej po nad nadzieję, że—spokojnie będą mogli umrzeć; gdyż według sprawozdań urzędowych dyrektora wydziału więziennego i deportacyjnego, p. Galkiua Wrasskiego, bardzo mało istnieje widoków na wyzdrowienie biedaków. Oto jak się on wypowiada:—Do 1885 r. nie wzięto się do zbudowania szpitali transportowych i nie zatroskano się o lekarzy i pomoc lekarską. Według par. 5 „Przepisów o zesłańcach” muszą lekarze cywilni i wojskowi badać chorych w szpitalach etapowych i dostarczać im potrzebnej pomocy. We wsiach przecież, gdzie się znajdują więzienia etapowe, nie ma lekarzy cywilnych, ani wojskowych, prócz etapów: Szeragulskaja, Biruzinskaja i Tireckaja. W tych miejscowościach znajdują się pokoje dla chorych z 6-ciu łózkami, które są przeznaczone dla chorych żołnierzy transportu. Wszyscy zesłańcy, którzy ulegali chorobie do 1885 r. między Aczyńskiem i Irkuckiem pomieszczeni byli w tych trzech miejscowościach, ale nie w pokojach dla chorych żołnierzy, lecz w celach więziennych¹⁾. W tych pomieszczeniach gromadzono chorych, bez względu na

¹⁾ Odległości między wspomnianymi domami etapowymi są następujące: od Aczyńska do wsi Biruzinskaja około 565 kilometrów, stąd do Tireckaja około 145 kilometrów i od st. Tireckaja do Irkucka około 220 kilometrów. Przeciętnie pochód transportowy robi tygodniowo 125 kilometrów.

wiek, pleć lub rodzaj choroby, co w żaden sposób nie mogło odpowiadać potrzebom. Brakowało także opieki, łóżek i bielizny, a nawet naczyń kuchennych i stołowych.

Pozostawały więc dla chorych tylko nieznaczne widoki na wyzdrowienie i umierało też rocznie z pośród zesłańców w transporcie między Tomskiem i Irkuckiem od 12^o/_o do 15^o/_o. Wedle sprawozdania urzędowego inspektora dla Syberyi Zachodniej (1884 r., strona 32 i 33) zmarło w 1883 r. na wyżej oznaczonej przestrzeni w ciągu dwudziestu jeden dni siedemdziesięciu zesłańców.

Nic dziwnego, że zesłańcy usiłują uniknąć takiego okropnego życia przez ucieczkę podczas pochodu. Doświadczone „brodiagi“ zamieniają czasem swoje nazwiska z zesłańcami, którzy mają niezadługo dostać się do miejsc przeznaczenia. Inni znowu próbują przy okoliczności sprzyjającej z okrzykiem „hurra!” rozerwać kordon wojskowy. Naturalnie, strzelają do nich natychmiast i niektórzy padają trupem na ziemię, innym ucieczka się udaje, zwłaszcza jeśli zaraz wpadną w gęstwinę leśną. W bezpiecznym już ukryciu uwalniają się od kajdan, rozszerzając okucia przez uderzenie w nie, i, gdy transport ciągnie powoli na wschód, łączą się zbiegi z wielką armią brodjag, która przekrada się na zachód przez lasy, ku górcom Uralskim.

10. Policja rosyjska.

W żadnym kraju świata nie mogłaby policja mieć większej władzy i tak daleko wdzierać się w życie ludzkie, jak w Rosyi. W innych państwach, gdzie zakres jej działania ograniczony jest przez prawo, ma ona za zadanie zazwyczaj ochraniać spokój i porządek w miejscach publicznych, wykrywać przestępstwa i zapobiegać im. W Rosyi, gdzie lud wobec rządu stoi w takim stosunku jak dziecko względem swego opiekuna, zakres działania policji jest o wiele więcej skomplikowany i doniosły, gdyż rząd rosyjski troszczy się o każdą sprawę prywatną swych obywateli, którymi kieruje on, opiekuje się nimi i kontroluje ich od dnia ich narodzin, aż do godziny, w której, jako znużeni życiem starcy, do grobu są chowani, i muszą oni czynić tylko to, co inni za właściwe do czynienia uznają. Owocem tego „ojcowskiego” porządku rzeczy jest olbrzymia władza policji, w której ręku spoczywa cały zarząd. Sprawy, które gdzieindziej sa-

mi obywatele załatwiają, reguluje w Rosyi minister spraw wewnętrznych za pośrednictwem policyi. Kto chce wydawać gazetę, musi na to mieć pozwolenie, kto chce założyć szkołę, choćby to było w ostatniej wsi na Kameczatce, musi wyjednać na to aprobatę; kto chce urządzić na cel dobroczynny koncert albo coś podobnego, musi przedewszystkiem otrzymać pozwolenie najbliższej władzy, musi przedstawić program do zaaprobowania i musi oddać policyi dochód, która tę sumę obróci na cel oznaczony—albo też nie.

Okólnik ministra spraw wewnętrznych datowany w sierpniu 1882 r. i rozesłany do wszystkich gubernatorów prowincyi, nadaje policyi prawo kontroli bezpośredniej nad wszystkimi przedstawieniami dobroczynnymi, a nawet więcej jeszcze, bilety wstępu muszą być sprzedawane tylko przez policyantów, lub pod ich bezpośrednią kontrolą. Za przyczynę takiego środka podaje się to, że pod pozorem przedstawienia dobroczynnego zbierają się pieniądze na rzecz więźniów politycznych i rewolucjonistów. Nawet stowarzyszenia naukowe, jak towarzystwa geograficzne w Omsku i Irkucku podlegają nadzorowi policyi, wybór prezydującego musi być zatwierdzany przez ministra spraw wewnętrznych i porządek dzienny posiedzeń musi być przedstawiony gubernatorowi do zatwierdzenia.

Jeśli kto chce sprzedawać gazety na ulicy, nie może to się odbywać bez pozwolenia policyi, musi on być tam zapisany i otrzymuje, jako znak aprobaty, tabliczkę wielkości talerzyka z numerem, którą musi nosić na piersi. Żadnej drukarni, zakła-

du fotograficznego, księgarni, nawet sklepu z materiałami piśmiennymi nie można prowadzić bez pozwolenia. Potrzebne jest ono także dla studenta, który chce studyować w bibliotece publicznej „niebezpieczne dla państwa” książki w rodzaju Lyells’a „Zasadę geologii”, dla lekarza, aby mógł wizytować swych chorych, aby nie był zmuszonym do nocnej wizyty i wreszcie mógł przepisywać „niebezpieczne” medykamenty, inaczej może ich aptekarz nie wydać.

Gdy włościanin chce w swym domu urządzić łaźnię, to musi prosić o pozwolenie, chce przy oświetleniu wieczornem młócić, musi zrobić to samo, jeśli nie wybierze drogi prostszej i nie przekupi policyanta. Gdy kto chce wydalic się ze swego miejsca zamieszkania więcej, niż o 30 wiorst, to nie może się to stać bez pozwolenia policyi. I bez tegoż nie może żaden cudzoziemiec przyjechać do Rosyi, oddalic się z Rosyi, musi zawiadamiać o każdej zmianie mieszkania i przy dłuższym, niż sześć miesięcy, pobycie otrzymywać specjalne zezwolenie. Krótko mówiąc: nie można w Rosyi bez pozwolenia policyi ani się poruszać, ani wogóle żyć. Policya, której szefem obecnie jest minister spraw wewnętrznych, zważa na każdy ruch wśród ludności, rozciąga nadzór nad wielu tysiącami „podejrzanych”; kieruje sprawami bankructw, sprzedają w lombardach, rozciąga kontrolę nad odczytami, ogłoszeniami ulicznymi, spełnia nadzór sanitarny, odbywa rewizye domowe, aresztuje, odczytuje listy osób podejrzanych, zmusza opieszalych do uczęszczania do cerkwi i t. d. Przepisy, dotyczące wła-

dzy policyi, stanowią nie mniej niż pięć tysięcy paragrafów *Swoda Zakonow*, rosyjskiego zbioru praw.

Aby różnorodną działalność policyi rosyjskiej, tem wyraźniej oświetlić, chcę tutaj zaznaczyć niektóre wyjęte bez wyboru przepisy i treść postanowień, które wydał dla gubernatorów minister spraw wewnętrznych w czasie od 1880 do 1884 r.

1) Przepisy regulujące wykłady religii w szkołach, jakie nie są prowadzone przez duchownych.

2) Środki przeciw koniokradsztwu.

3) Przepisy, dotyczące sztuk teatralnych zakazanych.

4) Zakaz sprzedawania pigulek Szymańskiego.

5) Zakaz ścinania młodych brzoź, używanych przez włościan do zdobienia w dni świąteczne cerkwi i domów.

6) Przepisy, dotyczące kontroli nad sprawozdaniami i bilansami stowarzyszeń prywatnych.

7) Zniesienie ograniczeń transportowania łoju.

8) O wzmiankach w paszportach dla Żydów.

9) O korzystaniu z wód mineralnych przez chorych oficerów.

10) Postanowienie, aby zboże sprzedawać na wagę a nie na miarę.

11) Przepis, kiedy policyjanci i inni urzędnicy mają pokrywać białem płótnem czapki.

12) O dopuszczeniu zbierania w Rosyi pieniędzy dla Grobu Świętego.

13) Zniesienie używania długich łańcuchów, jakimi łączeni byli więźniowie po sześciu razem.

- 14) Postanowienie, dotyczące drukowania na bibułce do papierosów.
- 15) Zakaz dla prowincjonalnych i gminnych rad wypowiedziania zdania w sprawach, które nie leżą w ich kompetencji.
- 16) Zakaz przesiedlania się do kraju zakaukaskiego sekciarzy.
- 17) Przepisy, dotyczące budowy domów włościańskich.
- 18) Uregulowanie transportu kości.
- 19) Przepisy o doniesieniach lekarskich.
- 20) Zakaz używania książek szkolnych, które nie zostały zalecone przez władze.
- 21) Właściwa metoda mierzenia nóg rekrutów.
- 22) O zebraniach nauczycieli.
- 23) Przepisy, dotyczące pozwolenia na prelekye publiczne.
- 24) Przepis co do obowiązkowych egzemplarzy wydawnictw.
- 25) O sprzedaży złej chininy.
- 26) Kontrola nad drukiem cenników, kart zapraszających i wizytowych.
- 27) Przepisy o urządzaniu klozetów.
- 28) Kontrola nad pieczęciami, stemplami i kartami osób prywatnych i stowarzyszeń.
- 29) O zbieraniu pieniędzy na cele cerkiewne.
- 30) Przepisy, dotyczące sprzedaży w aptekach środków toaletowych, jak: mydło, puder, szczotki do zębów i t. p.

Są tu przytoczone tylko niektóre przepisy i postanowienia, które tysiącami wydaje policya

rosyjska. Wprawdzie większość ich nie stosuje się w praktyce! Niemożliwym jest dla urzędników wprowadzić w życie taki ogrom zakazów i postanowień. Ale zawsze wpływają one hamująco i przytłumiająco na każdą działalność publiczną. W posiadaniu swoim mam pewien dokument urzędowy — raport jednego urzędnika policyjnego do swego zwierzchnika, w którym donosi on, że według rozkazu takie a takie osoby — nazwiska są przytoczone — odszukał i napomniął „pod groźbą kary”, aby przystąpili do komunii św. . . .

Policyę rosyjską można podzielić na cztery wielkie oddziały: 1) policyę wiejską, która się składa z mianowanych przez rząd „urjadników” i z wybieranych przez włościan „sotskich” i „die-siatników”; 2) policyę miejską, której działalność urzędowa jest, mniej więcej, taka sama, jak i w innych krajach; 3) policyę tajną i 4) żandarmeryę. Podział ten nie jest zupełnie ścisły, gdyż pojedyncze oddziały różnią się między sobą zasadniczo, ale do mojego celu jest odpowiedni.

Policya tajna i żandarmi podlegali, aż do ósmego lat dziesiątka włącznie, tak zwanemu „trzeciemu wydziałowi” kancelaryi cesarskiej i zajmowali się prawie wyłącznie przestępcami politycznymi. „Trzeci wydział” kancelaryi cesarskiej został jednak zniesiony i odtąd cała władza policyjna znajduje się w ręku ministra spraw wewnętrznych. Liczebność policyi rosyjskiej nie daje się ściśle oznaczyć, gdyż odnośny materiał statystyczny jest niedostępnym. Gazeta rosyjska „Gołos” donosiła w swoim czasie, że ogół kosztów utrzymania policyi dosięga

dwunastu milionów rubli. Przyjąwszy przeciętną sumę na utrzymanie jednej osoby na 300 rb., wypadnie, że ilość personelu policyjnego wynosi 40,000 ludzi, może ich jednak być więcej. Nawet liczba wybieranych przez włościan „sotskich” i „die-siatników” nie daje się dokładnie oznaczyć. Dziennik urzędowy ogłosił w dn. 1 maja 1886 r. wykaz wszystkich miejscowości w Rosyi europejskiej, gdzie się odbywa sprzedaż wódki i innych spirytuali; było ich 268,928. Jeśli na każdą miejscowość obliczymy po dwóch, tego rodzaju, policyantów, to wypadnie już więcej niż pół miliona. Mianowanych przez rząd policyantów wiejskich — „urjadników”, ma być około sześciu tysięcy. Są oni wyznaczeni na „stany”, stacye, z których każda obejmuje jeden okrąg, a ten stoi pod rozkazami „Stanowego pristawa” (naczelnika okręgu), dwa zaś albo trzy takie okręgi podlegają „isprawnikowi”, który znowu ma nad sobą, jako bezpośredniego, zwierzchnika gubernatora.

W Syberyi organizacya policyi jest dosyć podobna do organizacyi w Rosyi, tylko tam okręgi są o wiele większe i „stanowego pristawa” zastępuje „zasiedatel”. Urjadnicy są umundurowani i uzbrojeni i, co się stosuje i do innych urzędników policyjnych, nader źle płatni. To może jest główną przyczyną, że w tej służbie mało się znajduje ludzi zdolnych i uczciwych.

Policyjanci rosyjscy są mało inteligentni, niewykształceni i przekupni; korzystają oni z wielu przepisów urzędowych, aby wyciskać z włościan

pieniądze. Jak to się odbywa wyjaśni przytoczenie jednego przykładu:

Najlepszą wiedziony wolą rozporządza minister, aby dachy słomiane podczas gorącej pory letniej powlekano rozrobioną gliną, dla ochrony przeciw niebezpieczeństwu pożaru. Policyant, który ma podać do wiadomości włościan to rozporządzenie, czeka z tem, aż zajmą się oni całkowicie zbiorami, wtedy wzywa ich i zawiadania o rozporządzeniu i nakazuje, aby było wykonanem niezwłocznie. Włościanie nie mogą przerwać robót polnych, zapytują więc, co by to kosztowało, gdyby on się zgodził na zwłokę. Policyant ociąga się czas jakiś, wydane polecenie jest surowe, on ryzykuje swoją egzystencyę, wreszcie daje się uprosić, aby za opłatę po 20 kop. od każdego domu wspaniałomyślnie zgodzić się na zwłokę. Układ zawarty, włościanie wracają do swych robót polnych i policyant biegnie do szynku, aby tam przy pełnej szklanicy cieszyć się swym udanym podstępem i obmyślać jakim rozporządzeniem w najbliższym czasie będzie można wydusić znów coś z włościan.

Jest wiele jeszcze sposobów, przy których pomocy policya wyciska grosz z włościan rosyjskich, Gdyśmy właśnie przejeżdżali przez prowincyę Jenisejską, zdarzył się następujący wypadek: Kilku włościan postanowiło wynająć statek, aby na nim zawieźć na jarmark swe zbiory pszenicy, spodziewali się oni tam dostać wyższą cenę od tej, jaką otrzymywali przy sprzedaży pośrednikom. Plan był niezły, ale był on obmyślany bez uwzględnienia policyi. W większości wsi znajduje się drobny spe-

kulant, handlarz—często żyd—który, faworyzowany przez policję, wysysa włościan, ile tylko zechce. Jak oni są lubiani, wykazuje już to miano, które im nadają: „kułak” (pięść). W odnośnych wsiach mieszkał także „kułak,” i ten zaledwie posłyszał o zamiarze włościan, gdy już pośpieszył do „zasiedatela” i zawiadomił go o tej sprawie,

— Możemy, kochany Iwanie Mikołajewiczu, interesik zrobić przytem!—mówił.

— Jakto?—zapytał urzędnik policyjny z ciekawością.

— Włościanie nie mogą bez pozwolenia policyi, które winno być zaznaczone na ich paszportach, wyjechać się ztąd po za wiorst trzydzieści, a do miejsca jarmarku jest o wiele dalej. Dla mądrego człowieka, jakim pan jest, nie będzie trudno wynaleźć zasadę do odmówienia takiego pozwolenia. Mogą być wymagane prośby w innej formie, której pan jeszcze nie otrzymał, albo może pan wysłać paszporty do głównego miasta okręgu, aby tam były odnowione. Włościanie wtedy nie będą mogli odjechać i będą musieli sprzedać mi pszenicę. Ja zawiozę ją na jarmark i podzielimy się zyskiem.

Figiel ten wydawał się policyjantowi niezłym i—został doprowadzony do skutku.

W ten sposób wyzyskuje się włościan; ale ciągnie to dla nich za sobą jeszcze inną szkodę: czyni to włościan niedbalymi i leniwymi. Po co mają się oni męczyć! Aby im policya przeszkadzała w sprzedaży i zmuszała owoce ich pracy oddawać za śmieszna cenę pierwszemu lepszemu kułakowi? Takiego rodzaju „interesy” zdarzają się w Rosyi

często, zwłaszcza na Syberyi, gdzie urzędnicy policyjni znajdują się pod mniejszą jeszcze kontrolą i gdzie są oni jeszcze więcej zdemoralizowani, niż w prowincjach europejskich państwa.

Isprawnik w Tiumeniu pan Krazin, który nas przyjął nader uprzejmie i zezwolił na dostęp do tamtejszych więzień etapowych, uczestniczył potem również w podobnych brudnych interesach, za co nawet został także zesłany do Syberyi Wschodniej. W tej sprawie wyraził się przed sądem jeden włościanin, przesłuchiwany w charakterze świadka.

— Nas obiera z pieniędzy każdy, czy to „zasiedatel,” czyli „isprawnik,” obierają nas oni, jak często tylko mogą. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, nie skarżylibyśmy się na to nawet obecnie, ale to wykryło się na innej drodze.

Jest to zeznanie, które charakteryzuje położenie włościanina syberyjskiego. On jest do tego przyzwyczajony!—wydaje mu się to jako niewzruszony udział losu. Bóg jeden wie, ile ci umundurowani filuci z biegiem czasu wyciskają z biednych włościan! W każdym razie nie jest to suma nieznaczna; isprawnik K. w Jenisejsku chełpił się bezwstydnie, że mu jego włościanie rocznie przynoszą do 20 tysięcy rubli.

Niedaleko od Irkucka poznaliśmy pewnego „pisarza,” kancelistę. Rozmawialiśmy z nim raz, gdyśmy z nim weszli w poufalszy stosunek, o przekupstwie urzędników; powiedział on wtedy do mnie zupełnie otwarcie.

— I ja także biorę pieniądze od włościan. Wiem, że to nie jest uczciwie, ale cóż mam robić!

Z mojej pensyi wyżyć nie mogę; mój bezpośredni zwierzchnik jest przekupny, isprawnik jest przekupny i gubernator jest również przekupny. Gdybym chciał być wyjątkiem, to byłbym za me zuchwalstwo, że chciałem być uczciwszym, niż jego ekscelencyja pan gubernator, wypędzony ze służby, albo jeszcze gorzej, mógłbym być, jako tajny rewolucyonista, osadzony w więzieniu.

Dla wyjaśnienia słów ostatnich należy zaznaczyć, że dawniej wielu wykształconych młodych Rosyan, przekonanych liberalnych, albo nawet rewolucyjnych, zajmowało posady pisarzy pod fałszywymi nazwiskami, aby w ten sposób zyskać sposobność uświadamiania ludu i budzenia ich z letargu. Większość tych młodych ludzi wykryto i aresztowano; niechęć ich do upijania się i do łapówek była zbyt rzucająca się w oczy, aby ich nie podejrzewano o to, że są zdrajcami.

Często urzędnicy są nader pomysłowi w środkach wymuszania pieniędzy od włościan, co wykazuje następująca historyjka.

Na krótko przed naszym przybyciem do Tiumenta zawiadomiono „zasiedatela”, że w lesie, niedaleko od wsi, znaleziono zwłoki pewnego włościana, który został prawdopodobnie zamordowany. Obowiązkiem urzędnika jest udać się na miejsce takiego odkrycia i kazać pomieścić trupa w trupiarni wsi, oczekiwać na przybycie lekarza okręgowego, który musi ciało zbadać i orzec o przyczynie śmierci. Zasiedatel udał się tam i rozkazał przenieść ciało do wsi pobliskiej. Wiedział on bardzo dobrze, że w odnośnej wsi nie ma trupiarni i z oko-

liczności tej postanowił skorzystać, aby wyciągnąć jaką sumkę dla siebie. Kazał on ciało zanieść do domu najzamożniejszego włościanina i oświadczył mu, że musi trupa przyjąć, zanim nastąpią oględziny lekarskie. Włościanin uderzył w lament, było to bowiem dla niego podwójnie nieprzyjemne, gdyż jego córka miała w najbliższych dniach wyjść za mąż. Urzędnik wyraził swe ubolewanie, ale oświadczył, że musi się tak stać. W bliskości wsi został ktoś zamordowany, jest to wypadek, który może dla całej miejscowości pociągnąć za sobą złe następstwa.

Włościanin był wściekły. Wiedział, że urzędnik miał prawo kazać przenieść ciało do jego domu i że każdy opór pociąga za sobą surową karę. Prosi zatem „zasiedatiela”, aby mu nie czynił krzywdy, gdyż musiałby odłożyć wesele i rodzina jego doznałaby przykrości z powodu znajdowania się w domu trupa; pewną sumę mógłby zapłacić, aby się od tego uwolnić. Urzędnik również uważa, że coś podobnego bezpośrednio przed weselem jest bardzo nieprzyjemnem i — wkrótce następuje ugoda. Trupa przenoszą przed dom innego zamożnego włościanina i tu znowu się powtarza to samo. W ten sposób zmarły i zasiedatiel odwiedzili wszystkich włościan zamożnych i gdy się wszyscy okupili kilku rublami, złożono trupa wieczorem w starej, pustej szopie.

Później dowiedziałem się, że ten pochód z ciałem nie jest rzadkim wypadkiem; zdarza się nawet, że trup wędruje po dwóch albo trzech wsiach, aby urzędnikowi napędzić sumkę. Nie jest to nie nad-

zwyczajnego, że w bliskości wsi znajdują trupy, gdyż ilość zbiegów, którzy corocznie giną od mrozu w Syberyi, albo w inny sposób tracą życie, jest wielka. W jednej wsi opowiadali mi włościanie, że nigdy nie donoszą oni o znalezieniu trupa, gdyż to zawsze pociąga za sobą koszty. Grzebią oni ciało potajemnie, albo przenoszą je nocą do obrębu innej miejscowości. Raz zdarzyło się nawet—jak pisze *Wostocznoje Obozrenje*—(Przegląd wschodni)—w n-rach 38 z 22 września 1883 roku — że złożono zwłoki w celi więziennej i tam pozostawiono je dotąd, aż będący w niej nie mogli dłużej wytrzymać i za opłatą pieniężną pozbyć się musieli trupa.

Inny urzędnik policyi zawezwał raz, podczas żniwa, wszystkich włościan do siebie, gdyż chodziło o rzecz, jakoby ważną. Stawili się oni punktualnie i zastali, go siedzącego, w pełnym mundurze, przy stole, na którym leżały cztery wielkie tomy Zbioru praw.

Powiedział on wtedy przybyłym włościanom, że otrzymał z góry nakaz, aby ich zaznajomić z prawami krajowemi, które musi znać każdy dobry Rosyanin. I w tym celu rozpoczął on odczytywanie praw, które trwało do wieczora ; wreszcie zwolnił ich, rozkazawszy przyjść dnia następnego znowu.— Zapłaciwszy po 20 kop. od osoby, uwolnili się włościanie od tej przymusowej nauki.

Inną dobrą sposobność do wyzyskiwania włościan dostarczyła „robocizna obowiązkowa“, która zobowiązywała każdego co rok do wykonywania robót przy budowie drogi. Zamiast kazać włościaninowi, w miejscowościach sąsiadujących z jego

wsią, wykonywać roboty, isprawnik posyłał go o sto kilometrów dalej; chętnie on wtedy kupował sobie pozwolenie pracowania w pobliżu miejsca swego zamieszkania. Jeśli jednak był on tępogłowy, to isprawnik nie prędzej pozwalał mu odejść, aż obejrzał zrobioną robotę. I zdarzało się, że czasem 100 ludzi musiało przez dwa tygodnie obozować na drodze, chociaż robota ich dawno już została ukończona.

Zesłańcy polityczni na Syberyi mieli do opowiadania niejedną śmieszna historyjkę o głupocie postępowania policyi wiejskiej, zwłaszcza odnośnie do „rewolucjonistów“.

Po zamordowaniu oficera żandarmskiego Sudejkina przez terrorystę Degajewa, fotografie zabójcy rozesłano do wszystkich urzędów policyjnych państwa i przytem wyznaczono za ujęcie go nagrodę w sumie 10 tysięcy rubli. Fotografie przedstawiały Degajewa w sześciu zdjęciach rozmaitych: w czapce i bez czapki, z zarostem i bez zarostu, z wąsami i bez wąsów. Jeden bałwanowaty policyant w Syberyi zachodniej zaaresztował więc czterech Bogu ducha winnych podróżnych, którzy mieli, być może, niejaki podobieństwo do zdjęć fotograficznych, potem chwalił się on po pijanemu w szynku, że mu się udało już czterech tych przeklętych Degajewów schwytać, teraz wyśledzi on jeszcze dwóch pozostałych i wtedy wszystkich sześciu razem wyda swej zwierzchności; wyznaczone 10 tysięcy rubli nie ominą go i otrzyma jeszcze może „znak honorowy“.

Jeden znowu z jego kolegów zaaresztował uzonego, członka cesarskiego towarzystwa geogra-

ficznego, gdy tenże zrobił wycieczkę celem poczynienia studyów ornitologicznych. Na swoje nieszczęście, uczony, ptaki, jakie upolował, zapisywał w notesie i mądry policyant wietrzył coś okropnego, gdy przy rewidowaniu tego człowieka, znalazł przy nim książkę, a w niej takie napisane notatki: „Dziś zastrzeliłem koroniastego bekasa“. „Dziś jedną *Silvia hortensis*“. To musiało, wedle jego zdania, wskazywać, nie na co innego, jak na morderstwa rewolucyjne, a „koroniasty bekas“, musiał być już aluzją. Pod silnym więc konwojem został biedny uczony wyprawiony do miasta powiatowego.

Prawie każdy cudzoziemiec, który chciał zbać życie w Rosyi, musiał przynajmniej raz wejść w nieprzyjemne zetknięcie z policyą. Marynarz angielski Wiggins trzymany był przez trzy dni na Syberyi w areszcie, zanim mógł dostarczyć dowodów, stwierdzających jego osobistość Mackenze Wallac'a zaaresztowano w Rosyi europejskiej jako szpiega. Duchowny angielski Landsdell, jako rozpowszechniający pisma rewolucyjne i my wreszcie byliśmy aresztowani w Permie, dlatego, żeśmy z zewnątrz oglądali więzienie.

Policya tajna i żandarmerya nie mniej są liczne, jak policya wiejska, można przecież pierwszym przyznać pewien większy stopień inteligencyi i zakres ich władzy jest też o wiele obszerniejszy. Są oni rozproszeni po całym państwie i szczególnie liczni w miastach, ich liczba, organizacya i ich system małą są znane, wiadomo tylko, że się znajdują obecnie pod kierownictwem ministra spraw wewnętrznych i że zajmują się prawie wyłącznie sprawami

politycznemi, śledzeniem osób podejrzanych, czyli, jak brzmi ich urzędowa nazwa: „nieprawomyślnych”. W czasie wstąpienia na tron Aleksandra III było w Rosyi europejskiej 3,000 osób pod jawnym nadzorem policyi i około 2,000 takich znajdowało się na Syberyi. Jak wiele osób znajdowało się pod tajnym nadzorem policyjnym, nie można naturalnie oznaczyć; w każdym razie liczba ich musi być nader znaczna. Jak ścisłą na nie zwracają uwagę, wykazuje najlepiej tabela informacyjna, jaką musi wypełnić policyant co miesiąc odnośnie do każdej osoby, nad którą rozciąga nadzór. Udało mi się dostać formularz tej tabeli; brzmi on;

Wydział policyi cesarskiej
Formularz № 2.

(Musi być co miesiąc wypełniany i przedstawiany).

1) Jakie jest imię chrzestne i nazwisko będącej pod nadzorem osoby? Jakie jest imię jej ojca?...

2) Gdzie ta osoba mieszka?

Oznaczyć należy miejscowość, okręg, ulicę, dom, mieszkanie.

3) Jak długo mieszka ona tam, i czy zatrzymywała się tam przedtem?

4) Czy mieszka w oddzielnem, obszernem mieszkaniu, we własnym domu, czy też ta osoba wynajmuje mieszkanie, albo je poddzierżawia u kogo? Kto jest właścicielem domu albo lokatorem?

Należy oznaczyć nazwisko, zajęcie i życie poprzednie.

5) Czy osoba mieszka sama lub z innemi. W ostatnim wypadku, jakie są tu inne osoby.

6) Czy jest tam służba? Jak się nazywa?— W razie jeśli nie ma służby, kto uprząta mieszkanie? Jakie jest urządzenie w pokojach? Kto zajmuje się praniem? Nazwisko i zamieszkanie praczki winno być wyraźnie wskazane ¹⁾.

7) Kiedy i od kogo otrzymała ta osoba listy zwyczajne, albo pieniężne?

8) Czy jada w domu albo po za domem?

9) Czy korzysta z bibliotek publicznych? — Z jakich? — I jakie książki wypożyczyła w ciągu ubiegłego miesiąca?

10) Co ta osoba robi w domu?

11) Jakie są jej środki pieniężne? Jeśli udziela lekcyę, to u kogo? W razie jeśli zajmuje jaki urząd, czy posadę, to gdzie mianowicie i jakiego rodzaju?

12) Gdzie obserwujący widział ją po raz pierwszy i w jakich okolicznościach? Czy ta osoba zna śledzącego?

13) Czy ta osoba ma zwyczaj wydalac się z mieszkania i kiedy wraca do domu?

14) Czy ta osoba ma kochankę, ewentualnie kochanka? Jeśli tak, co za jedna to, czy jeden i gdzie mieszkają? Gdzie się odbywają ich spotkania?...

¹⁾ Pod pozorem, że są praczkami, miały zwyczaj uczestniczki partyi rewolucyjnej odwiedzać swych towarzyszy męczyzn; kosz z bielizną, służył także często do nie wpadającego w oczy, przynoszenia zakazanych przedmiotów.

15) Kto odwiedzał tę osobę w ubiegłym miesiącu i w jakim to było czasie?

Jeśli jest to możliwe, należy oznaczyć ich nazwiska i miejsce zamieszkania.

16) Czy kto obcy nocował w tem mieszkaniu i kto to był?

18) Czy będąca pod nadzorem osoba gra w karty?

19) Czy widziano ją już w stanie nietrzeźwym?

Pytania te muszą być przez agenta policyjnego opatrzone odpowiedzią z podpisem oraz potwierdzeniem kierownika okręgowego policyi tajnej i następnie przesłane do wyżej oznaczonego wydziału ministerjum.

Możnaby mniemać, że podobne sprawozdanie miesięczne pozwala poznać dokładnie dyrekcji policyi sposób życia i zachowania się będącej pod nadzorem osoby — a jednak tak nie jest.

Podkopu na małej uliczce w Petersburgu, gdzie złożono osiemdziesiąt funtów dynamitu, dokonało dwóch, będących pod nadzorem ludzi, którzy podawali się za handlarzy serów. Sklep ich zrewidowała nawet policya na trzy dni przed zamordowaniem Aleksandra II i podkopu nie odkryto.

Sądzę, że przeceniają działalność rosyjskiej policyi tajnej. Ja sam wynajdywałem dość środków i dróg do omylenia jej czujności, a wiele setek rewolucjonistów umie to robić przez całe lata. — W każdym mieście znajduje się mnóstwo rewolucjonistów, o których policya nic nie wie; zakazane druki, w najrozmaitszy sposób rozpowszechniane,

przechodzą z rąk do rąk — do tej liczby należą i niniejsze szkice — a policya nie ma o tem nawet pojęcia. Z wyłączeniem, być może, Szlisselburga, nie ma w całym obszernym państwie jednego więzienia, gdzieby nie było dla więźniów możliwości wejść w związek w jakikolwiek sposób ze światem zewnętrznym. Dość trafną też zrobił w tym przedmiocie uwagę korespondent *Noworosyjskiej Trybuny*.

Nie ma w Rosyi niczego, o czemby zagranicą miano tak fałszywe pojęcie, jak o policji rosyjskiej, która w rzeczywistości jest najgorzej kierowaną, najciemniejszą i najniezdolniejszą ze wszystkich, jakie istnieją w Europie.

Jaką korzyść przynosi ten system rządzenia?

Mniemam, że najlepiejby było dla cesarza, gdyby rząd despotyczny ustąpił miejsca konstytucyjnemu i gdyby wtedy pozbył się trzech czwartych swej władzy policyjnej. Gorszemi, niż są obecnie, stosunki już stać się nie mogą, gdy przeciwnie, przy prawidłowo stosowanym, liberalnym systemie rządzenia, możnaby stworzyć z Rosyi zamożne, zadowolone i silne państwo.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
413.	Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415.	Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416.	General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419.	Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421.	Juliusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422.	W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425.	DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.20	75
426, 427.	OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428.	LARIK. J. Gadowski	40	25
429.	WŁÓCZĘGA W TRÓJKE. Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432.	Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
433.	Ludwik Proal. ZBRODNIÉ POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434.	Maurycy Barres. POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanes i L. Nassa, opracowała K. Płońska	40	25
436.	Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowiadanie	40	25
437.	Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460. 463.	Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPI-SKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	4.00	2.50
440.	Teodor Jeske - Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studium powieściowe	40	25
443.	J. Scher. Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447.	Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI. Przekład M. Łaganowskiej	80	50
449, 457.	A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450.	Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SY-NÓW, przekł. E. Węslawskiej	40	25
451.	Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40	25
452, 453, 454.	PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
455, 456.	Jerzy Rodenbach. DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459.	Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462.	Grazia Deledda. POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram Kościółkowskiej	80	50
464.	Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	25	40



